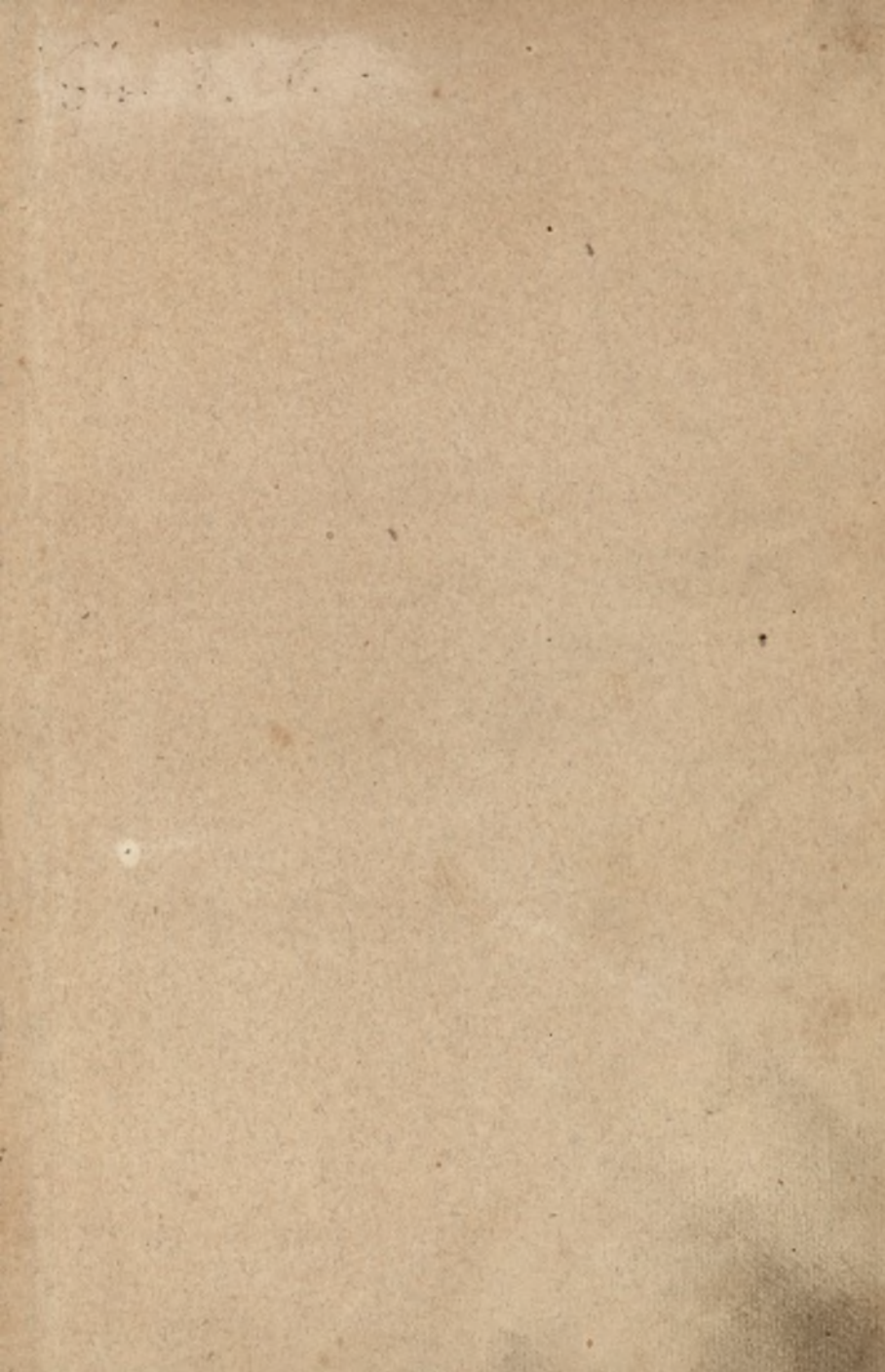










DWAJ JULIUSZE.



2278
KOMISJA KULTURALNO-OSWATOWA
MIĘDZ. PRACZ. TARN.
(1831 — 1863).



DWAJ JULIUSZE

KARTKI Z OSTATNICH DNI ICH ŻYWOTA

ANIOŁ JERZY 129
ZEBRAŁ

LUCIAN SIEMIŃSKI.

... nostri memorem sepulcro
Scalpi querelam

Hor.

KOŁEGARNA
WIELKA GIEŁDA
W TARNOWIE

W KRAKOWIE

NAKŁADEM WYDAWNICTWA DZIEL.

Władysława Jaworskiego

1869.

W drukarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

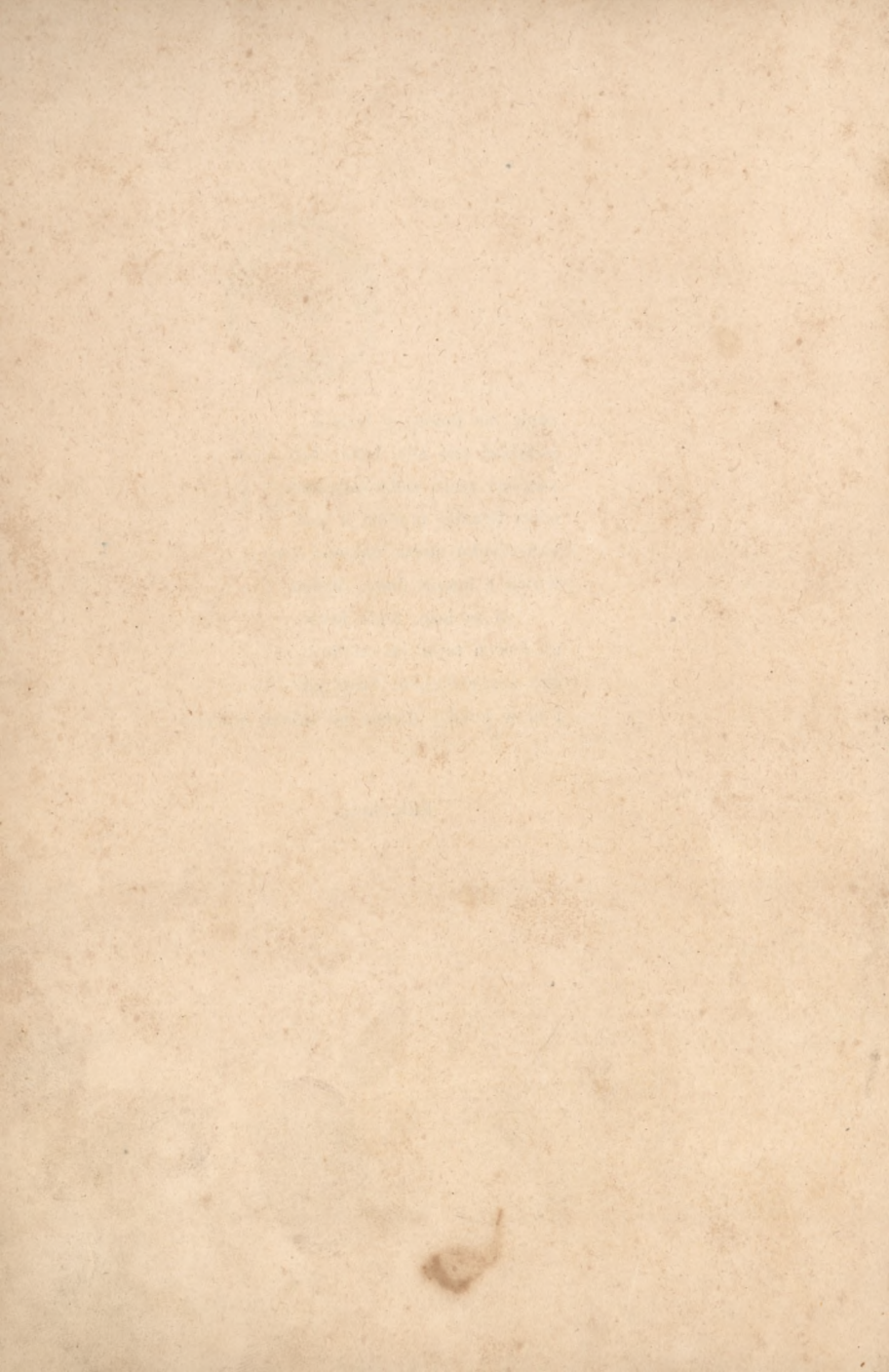


102523

nenie inż iunose w ho-ach
podskoci nan zdie lstiwo luti wrah
zamiesi zrakı zlobu zapclena,
nderi tieznim mlatem w prsi
zewzuiechu mutno zalostui lesi
wirazi z iunose dusu, dusieu .

Ai tu leże, tepla krew
za dusicu tecie za otletu . . .
sira zemie wrsielu krew piie
i bi w kazdei diewie po zalnim srdece.

Ruk. kral.



W'step.



Dobry to był zwyczaj zachowywany w niektórych domach spisywania kroniki rodzinnej — lecz właśnie dla tego że dobry: bo wkładający na potomków obowiązek pielęgnowania cnót i obyczajów tradycyjnie surowych, pobożności, miłosierdzia, wzajemnego wspierania się członków jednego szczepu, gotowości do służby i ofiar publicznych, słowem wszystkich tych powinności jakie ciążyą na rodzinie chrześcijańskiej—nieznachodził wiele naśladowców w późniejszych następach, którzy zapewne porwani wirem wyo-

brażeń i obyczajów swojego zepsutego czasu, ujrzeni się w tak krzyczącej sprzeczności ze sposobem myślenia swoich poprzedników, że wstyd im było robić wyznania odmienne duchem, krojem, barwą; ich miłość własna cierpiała na porównaniu dawnej świetności z nowym upadkiem. Niejeden też wołał pamiętnik familijny oddać na pastwę molów do składu starych papierów pod strychem, niż go dopełniać w przeświadczeniu o prawdzie słów Horacego.

„Czegoż niszczący wiek ten nie obali?!

„Ojcowie nasi mniej warci niż przodki:

„A my się w ojców naszych tak niewdali,

„Że po nas tylko zostaną wyrodki.“

Fałszywy wstyd połączony z nieogłędnością na potomnych, zadał cios temu dobremu zwy-

czajowi utrzymywania kroniki domowej. Jeżeli dziad zapisywał jeszcze swoje przygody pod Wiedniem z królem Sobieskim, lub jak się krzątał w konfederacyi Tarnogrodzkiej, to syn zarwawszy czasów nieobfitych w publiczne wypadki, nie miał już o czem pisać, a jednak trzymając się zwyczaju, w braku materyi dziejowej, kazał spisywać swemu sekretarzowi ze skrupulatnością sławnego Dangeau, przy jakim był którego dnia apetycie, czy w nocy spał dobrze, o której godzinie przejechał się na spacer, kto z dostojnych sąsiadów był z wizytą, i od kogo przyszły listy z powinszowaniem imienin, lub też z kondolencyami.

Sam parę razy napadłem na taki pamiętnik z wielką skrupulatnością prowadzony, z któ-

rego mógłbym się przekonać jak życie naszej szlachty możniejszej za czasów saskich było bez treści i dekoracyjne.

Wnuk porwany wirem nowych wyobrażeń, które na proch zdruzgotały świat jego wewnętrzny, z pogardą patrzył i na przeszłość i na teraźniejszość żyjącą resztkami ubiegłych wieków. Trzeźwa jego filozofia, jak nazywano wówczas szydzenie z wiary i obyczajów staroświeckich, nawet z rodzinnej mowy, nie mogła osiedzieć się w gnieździe ojcowskim, szukała więc wrażeń dogadzających usposobieniu, po wielkich stolicach zagranicznych.

Ludzie tego kroju, zaczynający wszystko od siebie jakby nie przed nimi nie było, żadnego nie mieli powodu prowadzić dalej kro-

nikę domową; już nie obchodziła ich nawet wielkość i sława rodu własnego.

Dla tego to niezdarzyło mi się nigdy słyszeć nawet o takiej kronice, któraby się nieprzerwanie przez kilka pokoleń ciągnęła i aż do naszych czasów dotarła.

Jedna kronika Koniecpolskich przedstawia mniej więcej skończoną całość, z wygaśnięciem tego wspaniałego rodu, jeszcze w tym czasie, kiedy przeszłość nie oddzieliła się tak głęboką przepaścią.

A jednak coby to był za skarb nieoszacowany, żeby w dziejach jednej rodziny znaleźć odbicie się tych zmian i kolei przez jakie naród przechodził i tych wyobrażeń i prądów

opinii przeciągających wiatrem zachodnim lub wschodnim przez wyższe społeczne warstwy.

Ze skarbu tego nie tylko historyk by skorzystał, lecz co ważniejsza, korzystałoby każde nowe pokolenie, znajdując w nim skazówkę dla życia tak często rzuconego na błędne drogi.

Jeżeli rodowody naszych możnych domów w ogóle są zagmatwane i nie pewne, jakże wymagać po nich żeby swoją historję spisywać miały?

Było to w naturze tak zwanej arystokracji polskiej, że podlegała najzmienniejszym kolejom i albo wynosiła się nad gmin szlacheckie, albo rozpływała się w nim, w czem różniła się zupełnie od innych arystokracji wyszłych z feudalizmu.

Nie rzadko też widzimy jedne rody trzymające prym przez kilka panowań i schodzące potem z widowni tak dalece, że w kilka wieków później, trzeba się uciekać do świadectwa dokumentów, żeby się przekonać o ich starożytności i dawnem znaczeniu. Podobnie jak fala idzie po fali: zdarzenia, zdolności, majątek, wysadzały jedne rody nad drugie: ci ustępowali owi wchodzili na scenę, a wszystkich w swoje łono przyjmował napowrót stan szlachecki, tem chętniej że zawsze występował z przywilejem równości. Może to właśnie dla tej a nie innej przyczyny jak heraldyka nasza była w wiecznym nieporządku, tak i niewiele dbano o historię domów. W upadku fortuny, i znaczenia, zawsze przykrem wspomnieniem bywa rozpa-

miętywanie minionej wielkości. Została ustna tradycya podawana w okruchach z pokolenia w pokolenie, lecz i ta nieprzyjmowała się zwykle, jeżeli grunt nie był sposobny do jej przyjęcia. Wprawdzie w mieszaninie obcych wyobrażeń zaplatało się nieraz to i owo, co więcej dogadzało osobistości potomka, a chociaż z tej skąpej spuścizny niewyrabiał się wybitny charakter rodziny, służyła przecież do utrzymania jakiego takiego związku między teraźniejszością a przeszłością.

Mówię tu o rodach które poddawszy się wpływom i okolicznościom nieumiały stać ani przy swej wierze, ani obyczajowi, ani językowi, oddając te wszystkie domowe skarby za blichtry mody lub dworactwa.

Lekceważenie tradycji, szczególnie pod koniec zeszłego a w początkach bieżącego stulecia, przyprawiało często o niemoc całe prowincye którym nie miał kto przewodniczyć; nie dla tego żeby zdolnych ludzi nie stało, lecz że im trudno było poznać się z otaczającymi ich różnemi warstwami i zbliżyć się do nich.

Były jednak domy przechowujące dawną tradycyę nie przez udawanie staroświecczyny bo to zakrawałoby na komedyę, jak raczej przez pielęgnowanie starych cnót, pobożności, surowego obyczaju, obok serdecznej gościnności, sąsiedzkiego pożycia, wspierania podupadłych rodzin, tulenia do siebie rozbitków fortuny publicznej.

Gdzie się taki jeden dom znalazł, tam w całej okolicy na wiele mil do koła, panowała uczciwa opinia; towarzystwo żyło w najlepszej harmonii, zachowywało u siebie karność niemal zakonną. Kobieta powstrzymywała się w lekko-myślności; młodzik któremu w głowie szumiało, długo pasował się sam ze sobą, nim się odważył na krok mający przed nim zamknąć drzwi do powszechnie szanownych domów, a marnotrawca, musiał się chyba do stołecznych miast wynosić, żeby puścić cugle swoim fantazyom; w okolicy niemiał ku temu sposobności, głównie dla tego, że ów dom wzorowy, ton dający, na który się zapatrywano, niehołdował modzie, nieprzesadzał się ani w zbytkach, ani wykwintach stołu, ani w innych fortunę pochłaniających ka-

prysach, a tem samem niebudził tej rujnującej emulacyi która bywa chorobą mniej zamożnych sąsiadów, silących się wyrównać możniejszym.

Dobre imię i powaga takich domów zdobywały się nietylko majątkiem i godnościami, ale i pewnym taktem. W zwykłych stosunkach pożyicia ziemiańskiego wiele zależało na tej pewności że jakim jesteś dzisiaj takim będziesz jutro i jakieś sąsiada przyjął dziś, tak przyjmiesz zawsze, jeżeli niczem nieda ci powodu do odjęcia mu szacunku, nareszcie że sąd twój w rzeczach publicznych nieodmieni się z łada wiatrem. jako idący z przekonania nabytego doświadczeniem, nauką, położeniem.

Takiemi to domami stało społeczeństwo nasze ziemiańskie i przechowywało czysty rodzin-

ny żywioł od skażenia i rozbicia, z nich historia naszych nieszczęść wybierała najliczniejsze ofiary, bo tam gotowość do ofiar zaszczipiona we krwi, nierachowała się z wyższymi względami polityki, a tylko szła za głosem uczucia.

Prawdziwy zakon rycerski, związany ślubem tak twardym, że kiedy wypadło iść na śmierć bez nadziei zwycięstwa, szedł jak heroiczny d'Assas pod Klosterkamp z myślą, że krew jego zbawi współbraci.

Któryż z szlachetnych młodzieńców w wio-
sennych swoich marzeniach o kochance, o szczę-
ściu domowem, o fortunie, każdej tej apostrofy
niezawiazywał zwrotką: bić się i umrzeć za
Ojczyznę!?

Pragnienie to męszało się we wszystkie uczucia i namiętności; było koroną życia, nie ledwo duszy zbawieniem.

Spółczeństwu noszącemu się z takim ideałem musiał przyjść koniec, gdy je przysiadł utylitarny realizm, co nie przeszkadza żeby herold Historyi nie miał złamać na jego grobie ostatniej tarczy i miecza.

Urwały się kroniki domowe; niewiem nawet czy jeszcze trwa zwyczaj żeby na książkach od nabożeństwa, lub w kalendarzu zapisywać dzień urodzin dzieci, ich wesela, śmierci.

Mało już, ktoby chciał pisać dla siebie; wszyscy chcą pisać dla wszystkich.

Tak tedy nieznacznie przeszło to w dziedzinę literacką, autorską, publiczną, co było prywatną potrzebą, co się łączyło ze wspomnieniami domowego ogniska. Często traf, częściej tkliwa i pobożna pamięć krewnych lub przyjaciół, zwieje ci jakie ułamki listów, dorzuci opowia-

danie ustne, i chce mieć pisany wizerunek du-
szy ubylej z rodzinnego koła, niby dalszy ciąg
urwanej kroniki.

Któżby się oparł takiemu życzeniu? Jeżeli
malarz się nie oprze aby narysował sierotom
portret ojca lub matki; matce portret syna z sa-
mego tylko opisanie jak wyglądał, do kogo był
podobny, jaki miał wyraz oczu i ust, tóż od pi-
sanego wizerunku jeszcze trudniej się wymówić,
tem trudniej, jeżeli pamięć zmarłego głęboko się
w twojem sercu wyryła; najtrudniej jeżeli śmierć
jego była tą rycerską ofiarą, za Ojczyznę.

Taki wizerunek już nie do prywatnej wy-
łącznie, lecz do narodowej galeryi należy.

Piękna na polu bitwy śmierć dwóch mło-
dzieńców, w dwóch różnych epokach oddzie-

lonych od siebie trzydziestu lat przeciągiem, to już jeden z wielkich tytułów do zainteresowania się nimi, a cóż dopiero gdy do tego przyłączą się przymioty serca i umysłu: miłość synowska, wzniosła czystość charakteru, i coś tak sympatycznego w całej postaci i towarzyskiem obejściu, że nawet najkrótsza znajomość zostawia wrażenie i niedaje się zapomnieć.

Jeden z tych młodzieńców serdecznie i z bliska mnie obchodził. Patrzałem na niego jak rósł, jak się kształcił, mężniał, jak wszystko co obiecywał byłby niezawodnie dotrzymał i jeszcze przeszedł oczekiwanie....

Drugi był mi nieznanym osobiście, lecz znany z rozgłosu jaki śmierć jego zrobiła wtedy, gdy każdy dzień przynosił nekrologi z pola

bitew. Obydwa pochodzili ze znakomitych staropolskich rodów w których cnoty domowe i obywatelskie bywały dziedziczne; obydwóch łączył bliski krwi związek, chociaż gdy pierwszy ginął, drugi nieżył jeszcze na świecie; obydwaj jedno chrzestne nosili imię; obydwaj padli rzucając się z orężem w rękę na nieprzyjaciela.

Pierwszym był Juliusz Małachowski—drugim Juliusz Tarnowski.

Wuj i siostrzeniec.

Data śmierci pierwszego rok 1831—drugiego 1863.

Dotąd znaliśmy obydwóch z ostatniej sceny ich życia, z katastrofy, która wszystko kończy; teraz chciałbym ich dać poznać w charakterze prywatnym, poufnym, jakimi byli w kółku ro-

dzinnem, przyjacielskiem, kiedy się niespodziewali że ich kto obserwuje, albo ich myśli powierzone listom przed światem wyjawi. Nie robię tego żeby tym większy żal wzniecić po ich stracie; opłakano ich bowiem rzewniejszemi, szczerzszemi łzami, niż wszystkie rymowane i nierymowane elegie i nekrologi.

Na cóż więc poruszać te popioły, na co odwalać kamień z ich polnego grobu, kiedy będący na nim napis: *Zginęli za Ojczyznę!* wszystko mówi? Zapewne że napis wszystko powiada; atoli bohaterska śmierć ma to do siebie, że interesuje nas każdym szczegółem, każdą drobnostką żywota. Kto tak umierał, przestał być obojętnym; taka śmierć nie mogła być przypadkową i niezostawać w najściślejszym związ-

ku z życiem; co więcej, wydaje się ona łaską nieba, ziemską nagrodą za pasmo dni przeciętych nie w porę. Gina ludzie na wojnie, lecz czyż każdemu dano ginąć bohaterską śmiercią? Nie tylko w starożytności, lecz w każdym czasie, zgon rycerski wzbudzał cześć i uniesienie w żyjących; Grek spółbożył swych bohaterów, kazał ich czyny opiewać rapsodom; średnie wieki naśladowały go w pieśniach bardów i trubadurów; nowsze piszą o nich; a wiek dzisiejszy odrzuca wszelkie konwencyonalizmy pochwał i uniesień, dając rzecz jak najprościej, bez żadnych przystrojeń, i o to najwięcej się ubiega, ażeby przeniknąć do najskrytszych tajemnic ducha, i zbierając okruchy życia choćby najpro-

zaicniejsze, zainteresować nie zmyśleniem poetycznem, lecz nagą prawdą rzeczywistości.

Dawniejszym ludziom wystarczał akt heroiczny; o codzienną prozę nie troszczono się i powiem nawet, że unikano jej, w przekonaniu, żeby mogła uwłaczać każdej wielkości.

My, całkiem przeciwnej trzymamy się drogi. Sam heroizm mniej nas porywa i dziwi, niż la-
da drobne szczegóły z których się żywot splata. Jak dzień swój spędzał Napoleon gdy był uczniem szkoły wojskowej w Brienne, niemniej może zajmować, jak co robił w dniu abdykacyi w Fontainebleau. Zdawało by się że nikt niechce na ślepo dawać swego wotum za wielkością, cnotą, zasługą, tylko musi mieć sobie przedłożone wszystkie dokumenta procesu.

Jeżeli wielka historia dogadzając temu upodobaniu porzuca niekiedy swój ton wysoki a nie gardzi potocznym, tem więcej przebaczonem być powinno domowej kronice opowiadającej życie dwóch młodzieńców jeszcze niegłosnych niezem, gdy takowe obracać się będzie w kółku familijnych stosunków, smutków i przyjemności i wszystkich tych malutkich zdarzeń, tworzących nieraz tak zajmujące sceny dramatów zamkniętych czterema ścianami. Ci aktorowie bez widzów mają przywilej stawać przed publicznością po zgonie. Przywilej to drogo okupiony, a raczej zapłacony przez nich ryczałtem, bez oglądania się na korzyść doczesną. Do nas więc należy cały zysk i strata. Jak śmierć była ofiarą, tak i życie ich nieda się oddzielić, i stając

się uświęconem przez zgon bohaterski, tem samem należy do chlubnych pamiątek narodowych.

Owoż z ich własnych uczuć i myśli odszukanych w ułamkach listów, w zapiskach i opowiadaniach bliższych znajomych i krewnych, chciałbym spleść dwa skromne wianki i zawiesić na ich grobie.

Dla istot duchowego świata niemoże być obojętną pamięć żyjących. Związki te nie zrywają się snąć ze śmiercią, skoro kościół, prześiąknięty najgłębszemi tajemnicami ludzkiej duszy i istoty, widzi potrzebę utrzymywania nieustannego stosunku pomiędzy tym a tamtym światem. Wspomnienie o ziemskim ich życiu nie ma zapewne wagi dla ludzi zmarłych, wyż-

szych od nas znajomością tej tajemnicy, tej zagadki życia i człowieka, którą śmierć dopiero rozwiązuje. A jednak i takie wspomnienie może mieć swoją wartość, jeżeli przyczyni się do utrwalenia tego związku, który, choć się nieda pochwycić ani opisać, jest przecież rzeczywistym i prawdziwym. Wspomnienie takie przytwierdza do ziemi postacie, które po niej oddawna już nie chodzą; przechowuje ich imiona; panieć ich chroni od zapomnienia; kiedy niekiedy zwróci ku nim myśl żyjących; a tak, swoim sposobem i ono dopomódz może do utrzymania tego związku wyższego i świętszego, który jeżeli dla tamtego świata jest potrzebą, to dla naszego jedyną w niektórych razach bywa pociechą i nadzieją.

Jeżeli więc spełni tę powinność względem tych dwóch cieni, jeżeli odświeży ślady krótkiego ich między nami pobytu, jeżeli się przyczyni do przechowania ich pamięci na tej ziemi za którą i na której polegli—to praca ta nie będzie straconą.







Henryk Redlich ryt.

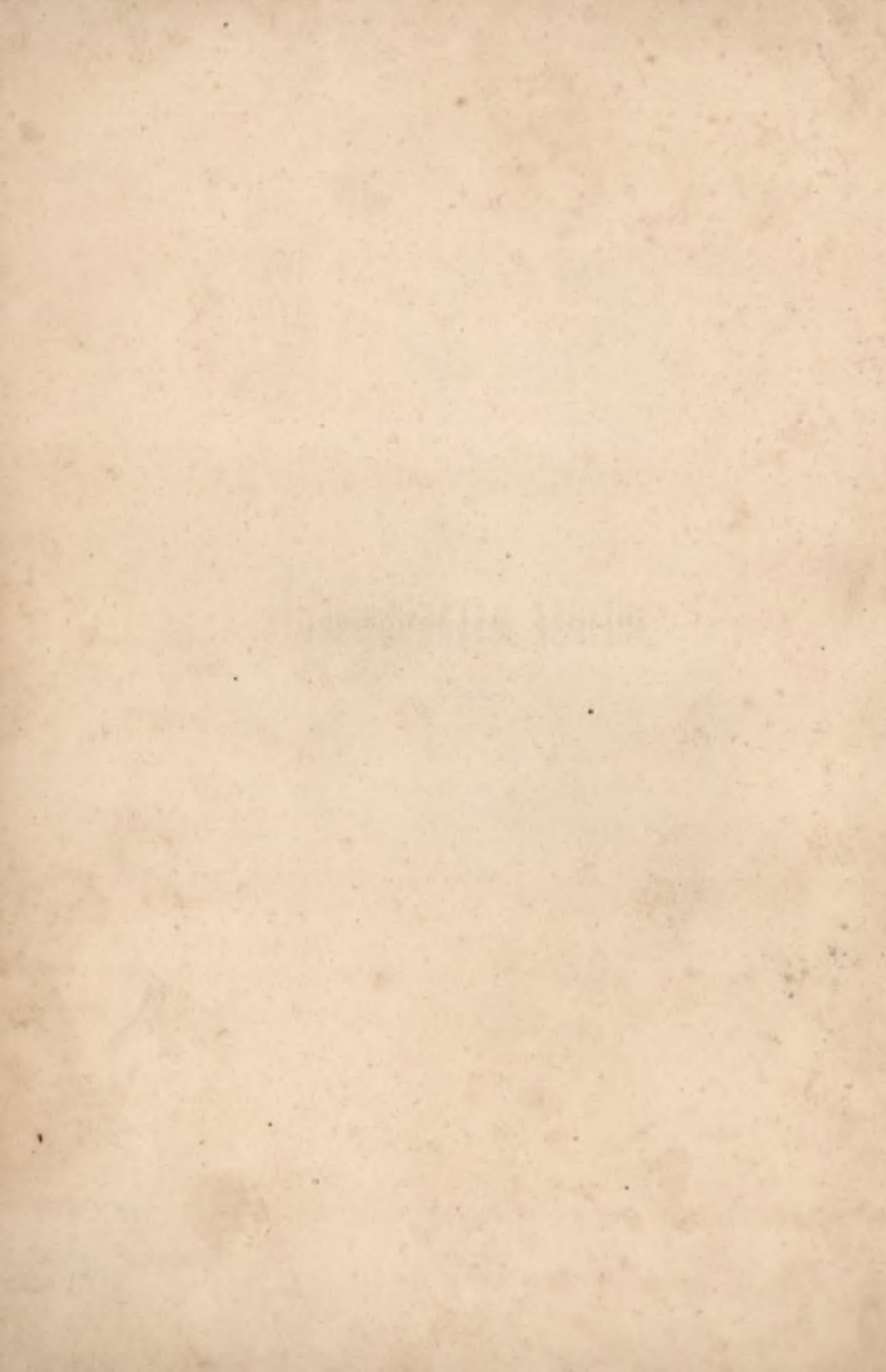
Juliusz Mętachowski.

†1831.

Drukował A. Wetteroth, w Monachium.

JULIUSZ MAŁACHOWSKI.





JULIUSZ MAŁACHOWSKI.



Dom Małachowskich Nałęczów ukazał się na widowni historycznej w połowie XVII wieku i odtąd nieprzerwanie dostarczał ludzi odznaczających się w sprawach publicznych i piastujących wysokie urzędy koronne.

Szereg ten rozpoczyna biskup krakowski, wzorowy pasterz na swojej stolicy duchownej, gorliwy w usługach dla kraju obywatel, posiadający zaufanie Jana Kazimierza a mianowicie królowej Ludwiki, która, ceniąc jego zacny charakter, zrobiła go wykonawcą swej ostatniej woli. Kto wie jakim ludziom pani ta dawała zaufanie i jaki z nich umiała robić wybór, ten niepomnyli się, jeżeli biskupa Małachowskiego policzyć do znakomitości pod względem prywatnym i publicznym.

Za czasów Sobieskiego, w wyprawie wiedeńskiej odznacza się Stanisław Małachowski wojewoda poznański mający świetną kartę w dziejach naszych z powodu zawarcia traktatu karłowickiego, który nam wrócił Kamieniec i Podole, trzymane przez Turków od czasu Michała Korybuta. Dyplomata był tu szczęśliwszy od najwaleczniejszego z królów.

Syn jego Jan, kanclerz w. koronny ogromną gra rolę za Augusta III. Wpływy kancлера wyrównywały nieledwie wpływom Czartoryskich, którzy, rzec można trzęśli Koroną i Litwą.

Wyborny gospodarz, zwrócił uwagę na podniesienie krajowego przemysłu, a dając oraz przykład ze siebie, w dobrach swoich Końskie niegdyś majątności Odrowążów, pozakładał fryszutki i huty i biegłych rzemieślników pościagał z zagranicy.

Odtąd wyroby żelazne w Końskich wystarczały na pierwsze potrzeby kraju. Syn jego Jacek, także piastujący urząd kanclerski za Stanisława Augusta szczególnie, opiekował się górnictwem; jego staraniem powstało wiele zakładów frabrycznych w wojewodztwie krakowskiem i sandomierskiem.

Brat jego Stanisław, marszałek sejmu czteroletniego, wielki miłośnik ojczyzny, piękne zdo-

był sobie imie przez udział jaki miał w przeprowadzeniu ustawy 3. maja.

Popularna ta postać stawiana bywa za wzór patrioty. Jeżeliby samem sercem można było ocalić upadającą Polskę, on byłby ją niezawodnie ocalił.

Rodzina mająca tak znakomite wzory, nie mogła nie iść raz wytkniętą drogą poświęceń się dla rzeczy publicznej. Pokąd rzeczpospolita używała swej udzielnosci, dotąd wystarczała gorliwa dla niej służba; później, gdy ją straciła, służba musiała przybrać charakter ofiary z majątku i życia.

Młodsze pokolenie porozbiorowe, usunięte z pola wysługi dla kraju, że tak powiem oficjalnej, szło za tym popędem, który chwycił się jak tonący, każdej gałęzi ażeby wybrnąć z tonicości i zapomnienia. Wnuk kanclerza w. koronnego Jana, syn starosty opoczyńskiego, Stanisław, dziedzic Końskich, lubo zarwał młodością kilka ostatnich lat panowania Stanisława Augusta i w towarzystwie Piotra Potockiego starosty szczyrzeckiego odprawiał poselstwo do Stambułu, które, mimo całej przychylności W. Porty nie mogło grać o lepsze z przebiegłą dyplomacją rosyjską; lubo w czasie powstania Kościuszkowskiego otrzymał nominacyą na jeneralnego or-

donatora armii i rozpoczął urzędowanie swoje w Sandomierzu—liczył się w większej połowie do nowego pokolenia, któremu przypadł w udziale trud trudów, praca cicha na ojczystym zagonie ze wszystkimi ciężarami i upokorzeniami jakie wkłada na barki zgnębionych obcy pan gospodarujący na swój sposób; albo też żywot awanturniczy spisków, tułactwa, rzucania się w hazardowne przedsięwzięcia i następstwa ich: konfiskaty, więzienia, sybiry i wszelkiego rodzaju prześladowania, a nieraz i krwawe egzekucye.

Owóż ten Stanisław dziedzic Końskich ożeniony ze Stadnicką starościanką ostrzeszowską, na niewiele miesięcy przed wybuchem Kościuszkowskiego powstania, poszedł, po wymazaniu Polski z listy narodów żyjących, pierwszą tą drogą: został przy ziemi, której nie mogąc obronić, niechciał zostawić na pastwę przeniewierstwu administratorów, i bezpośrednim wpływom obcej władzy.

Młoda ukochana małżonka, majątek ogromny, zakłady fabryczne, imie używające znaczenia i powagi, wszystko to nakładało większy obowiązek na człowieka z wyższem pojęciem obywatelstwa, niż tułactwo oddane na niepewności i hazardy konjunktur politycznych.



Austria, której w ostatnim zaborze dostały się województwa: lubelskie, sandomierskie, i krakowskie, niesprzeciwiała się wychodztwu obywateli; miała nawet odpowiednią swemu interesowi maxymę: *Die Malkotenten lass man laufen*, wiedząc, że ciemny i ubogi lud łatwiej przerobić na swoje kopyto niż szlachtę mającą tradycję udzielnego bytu, a lubo i na tę znalazła sposób, biorąc ją na czeze tytuły i godności, zawsze łatwiejsza była sprawa z ciemnotą.

Dobra Końskie leżące w województwie Krakowskim zatrzymały swego dziedzica, który za-
jął się przyprowadzeniem majątku do kwitnącego stanu; dawał staranne wychowanie synom; dobry przykład sąsiedztwu patryarchalnem życiem i godnem zachowaniem się w trudnym stosunku z władzami. Trwało to do roku 1809 w którym Województwa te przyłączone zostały do księstwa Warszawskiego. — Zamknięcie się w kole domowych rodzinnych obowiązków niewystarczało już w nowem położeniu.

Księstwo Warszawskie w ciągu dwóch lat swego istnienia zwiększone przyrostem części austriackiego zaboru, żył onadzieją odzyskiwania i innych dzielnic Polski; w czem miało wiele podobieństwa z historją Sardynii w naszych czasach. Ubogi ten kraj, przechodami wojsk i woj-

nami zniszczony, kontrybucyami wyssany a często przez samych wybawców traktowany jak zdobyecz, wysilił się na postawienie 90,000 armii.

Małachowski nie był ostatnim z liczby tych co majątki i osoby swoje przynieśli w ofierze. Rządność w domu dała mu możność przyczynienia się w znacznej części do utworzenia pułku kirysyerów, którego był oraz mianowany dowódcą. Świetne pułkownikowskie szlify mające podwójny urok w czasach tak militarnych jak Napoleońskie zaspokoily nie jedną ambicyę; dla Małachowskiego wszakże były one godłem ofiary z najdroższych uczuć i najmilszych nawyknień.

W pamiętnikach, które dla dzieci napisał, tak maluje stan swej duszy, gdy z pułkiem wychodził na wojnę: „pamiętacie zapewne kochane dzieci moje, że dzień 26 maja 1812 r. był dniem rozstania się mego z wami. Ruszyłem z pułkiem moim z Warszawy około 11. z rana, powiedziałno mi później, że matka wasza udawszy się z wami do kościoła św. Krzyża, przechodząc widziała mnie maszerującego. Dobrze się stało, że oczy moje nie były w tamtą stronę zwrócone. Widok ten odjąłby mi resztę sił i nie byłbym w stanie oderwać się od was. Niechaj kto inny chełpi się i nazywa tęgością duszy obojętność na wszystkie związki tak drogie. Słabość

moją wyznając, nie wstydzę się otwarcie powiedzieć, że najszczęśliwszy w domowym pożyciu, zachowywałem najśłodsze uczucia dla żony, dzieląc je pomiędzy was kochane dzieci i domowników, którzy mi przyjaźń swoją okazywali. Potrzeba było gwałt sobie samemu uczynić, przytłumić głos odzywającej się natury, aby to wszystko poświęcić. Tak jest, nadzieja pięknej przyszłości, chęć dzielenia sławy współziomków moich, myśl, że poświęcenie się moje, służyć wam będzie za przykład—przemogły nad wszystkim; zerwałem, że tak rzeknę, ogniwa szczęścia mojego i duch żołnierski przeniknął mnie do głębi. Nieobeznany z tem rzemiosłem, odbierając przeciwnie wrażenia mym zasadom, przekonałem się z doświadczenia, że wyrzec się trzeba czułości i litości, trzeba mieć zatwardziałe serce, lub zimny temperament, aby być wielbicielem tego stanu.“

Kto taki miał wstręt do żołnierskiego rzemiosła, ten oczywiście robił nie małą ze siebie ofiarę; kto używał tyle szczęścia na łonie kochającej małżonki; kto się upajał widokiem podrastających dzieci; kto przywykł do ziemiańskiego sposobu życia uplecionego z tysiącnych węzłów sąsiedzkiej zażyłości, przyjaźni, opieki nad wdowami i sierotami, ojcowskiej pieczy dla sług i poddanych, ten w innem był położeniu w chwili

stanowczej, niż każdy inny, co tylko odpowiada sam za siebie; co choć zostawia dotkliwą próżnię, nie zostawia jej w rozmiarach obejmujących nieraz byt i szczęście rodziny i pomyślność całej okolicy. Wówczas jeszcze znaczenie wielkiego pana dla powiatu, województwa, mierzyło się na inną skalę niż dzisiaj.

Z tem wszystkiem ofiarować się na żołnierza, dowódcę, a nie mieć przymiotów żołnierskich, jedno jest co zabierać miejsce zdolniejszemu od siebie. Uwaga tu miałaby zupełny pozór słuszności, gdyby znowu niezbijała jej powinność, reguła szlacheckiego zakonu, i ta dobra krew niezawodząca w danym przypadku.

Improwizowany półkownik tęskniący za żoną, dziećmi i domem, zostawiający przy nich więcej niż połowę duszy, odznacza się świetnym czynem w najkrwawszej z bitew napoleońskich pod Mołajskiem. Zostawiam jemu samemu opowiadanie tego czynu głośnego w dziejach kompanii 1812 roku.

„Jazda nasza, pisze Małachowski, stała nieporuszenie przez ośm godzin pod najtęższym działowym ogniem..... Z uszanowaniem pełnem uwielbienia patrzałem na spokojną postawę żołnierzy godnych imienia bohaterów. Dodać nawet trzeba, że żaden wódki w ten dzień nie pił,

a od dwóch dni nie nie mieliśmy do pożywienia. W tem przyszedł rozkaz atakowania reduty po prawej stronie. Ruszyliśmy stępem aż pod samą górę, z prawej strony uderzyli Westfalczyki, nasza zaś brygada saska sam środek atakowała. Rzęsisty ogień nieprzyjacielski tak uszczuplił brygadę kirysyerów westfalskich, że ci cofając się zepchnęli i naszą kolumnę będącą już na górze. Saski generał Tielman komenderujący naszą brygadą, nie tracąc chwili, uszykowawszy nas pod ogniem kartaczowym, obszedł z drugiej strony baterię i w największym pędzie konia przebiega się na szczyt i zostaje panem reduty. Jeszcze o kroków 300 oddalony byłem od niej z moim pułkiem, kiedy przylatuje do mnie adjutant cesarski i woła: „*Colonel, au nom de l'Empereur, chargez á l'instant.*” Odpowiedziałem: *vive l'Empereur! en avant!* i wmgnieniu okaraduta okryła się moim żołnierzem; rowy opasujące ją nie były żadną zawadą. Koń zdawał się dzielić zapał jeźdźcy, dobywał ostatnich sił, aby je (z drugimi idąc w zawody) pierwszy przeskakiwać. Rów był najmniej cztery łokcie szeroki. Konia miałem z Anglii sprowadzonego, ten w największym pędzie przeskoczył ziemną rów, i ujrzałem się pierwszy sam jeden w środku reduty. Ancuta, wachmistrz mający także

*

tęgiego konia, tuż zamną nadbiegł. Zastałem moskali leżących do ziemi twarzą, drugich kłęczących i wołających: my chrześciane, pardon! Jenerał Tilman z dwoma regimentami saskimi wchodząc drugą stroną na też baterię, gdy mnie z wachmistrzem widział śród nieprzyjaciela, i że bateria była już przezemnie wziętą, dobył manierki i nalawszy w kubek srebrny madery, wypił do mnie mówiąc: „Niech żyje cesarz, niech żyje król Saski pan mój! któremu zdam raport, że pułkownik przyczyniłeś się do sławy wojska saskiego. Jakoż w skutek tego raportu otrzymałem własnoręczny list króla z podziękowaniem, przyczem przysłał mi krzyż wojskowy kawalerski. Tam pułk mój wziął przeszło 300 niewolnika i jedną armatę zaprzężoną; było jeszcze cztery armat ale bez koni, i te musieliśmy zostawić. W regimencie moim nie było żadnego oficera, któryby albo sam albo koń jego nie był rannym. Ja miałem pod sobą dwa konie ranne: jeden od kartacza, drugi od kuli karabinowej; kirys mój trzy zagięcia miał od kuli, mnie przeznaczenie chciało zachować...”

Piękny to ustęp w życiu ziemianina, tak piękny, żeby go mógł pozazdrościć nie jeden wojskowy z rzemiosła; szacowna pamiątka dla

dzieci i wnuków, szacowniejsza niż familijne klejnoty i srebra, któremi się pysznić lubi próżność.

Nieszczęściem, nie bardzo wtedy rzadkiem, dostał się Małachowski podczas odwrotu z Moskwy do niewoli, zaprowadzony do Tweru, przebył tam, w ustawnej tęsknocie za domem, bolejący nad upadkiem tylu nadziei, lat dwa długich, jak niekończące się oczekiwanie.

Wzruszającym był powrót, który wracał ojca rodzinie, dobrego pana poddanym, przyjaciela sąsiadom, prawego obywatela krajowi.

Obok starszych tradycyi przechowujących się w każdym zakątku rezydencyi Konieckiej, przybywały świeże, żywe wspomnienia w osobie Stanisława Małachowskiego, niby dalszy ciąg kroniki domowej ciągnącej się od XVII wieku.

Trzech synów i dwie córki wychowywało się w tej atmosferze miłości i poświęceń się dla ojczyzny.

Wyobrażenia, charakter kształcił ojciec; uczucia matka; niewiasta wielkich cnót chrześcijańskich i niepospolitego umysłu.

Najmłodszym z rodzeństwa był Juliusz, urodzony w roku 1804.

Niepisząc historyi tej rodziny, lecz tylko dając jeden z niej ustęp, jego jednego tylko wymieniam, z prostej przyczyny, że o nim jednym

mani mówić. To zaś co się rzekło o przodkach i rodzicach, służy za ozdobę do ram, w które chciałbym portret jego jak w medalion oprawić, a właściwie potrzebnem jest jako komentarz wyjaśniający znaczenie domowych podań które duch niwelujący wszystko zdmuchuje jak puch z kwiatów.

Kto chce niech sobie utrzymuje że tradycye i przodkowie są zbytkiem, i żonką arystokratyczną, dla tego, że bywały w świecie, i zapewne będą rodzić się jenijusze, ludzie nadzwyczajni, bez pomocy przodków i historycznych podań domowych. Ani słowa przeciw temu: Kolumb, Washington, Napoleon i wielu innych w różnych zawodach z niskich położeń wybiło się na szczyt wielkości i sławy; gdy jednak nie biorę tu w rachubę tych niespodzianek zjawiających się w bardzo długich odstępach a zsyłanych przez opatrność na ratunek rozbitych społeczeństw, nieprzestanę utrzymywać, że w zwyczajnych warunkach z domowej szkoły rycerskiej wychodziło najwięcej pięknych postaci zdobiących majestatyczny płaszcz narodu, haftowany wypukłym ścięgiem, niby płaskorzeźba ze srebra, złota, jedwabiu, na średnio-wiecznych ornatach.

Demokracya biorąca świat w posiadanie, robi zadziwiające postępy, na polu materyalnych zdobyczy; idzie niemal ze Stwórcą o lepsze; lecz w świecie ducha, na polu ofiary, pod chorągwią afirmacyi noszącej napis: *Bóg i ojczyzna*; zawsze najsilniejsze popędy wychodziły i wychodzą od potomków historycznych rodów.

Charakter ten przechowują tradycye domowe niekoniecznie trącające o hetmańskie buławy, kanclerskie pieczęcie, lub marszałkowskie laski; szabla augustowska, lity pas słucki, barski napierśnik z wizerunkiem Najświętszej Panny, pierścień Kościuszki, krzyż *virtuti militari*—to także spuścizna po przodkach przechowująca w potomkach te myśli i uczucia które zowiemy treścią narodowego życia.

Juliusz Małachowski wychowywał się pośród tych wpływów i przykładów domowych, które niepozwołyły mu pójść inną drogą tylko tą, jaką szli jego przodkowie. Majętny, z pięknem imieniem, spokrewniony z pierwszymi w kraju familiami, łatwo mógł rzucić się w świetny wir zabaw, romansów, wojażów bez celu, zgola w bezdenną niecość próżniaczego używania, kończącego się zwykle ruiną zdrowia, ruiną majątku i wystudzeniem serca.



Urodziwej postaci sympatyczny młodzieniec skończywszy kurs nauk, odbył zagraniczną podróż po Niemczech, Francyi, Anglii, Włoszech, a wróciwszy do domu zajął się gospodarstwem. Ci, co go wówczas znali, powiadają, że przy męskiej energii lubiący szukać niewczasów i trudów, choćby w wyprawach na knieje, miał urok niewinności dziewiczej, ową wstydlivość młodzieńczą, która tak rzadko chodzi w parze z mękością. Niebył to jednak suchy i zimny purytanin lub mizantrop niewczesny; owszem nieuniknął towarzystw, zachowywał stosunki z młodzieżą wśród której wzięciem się i zachowaniem swoim wyróżniał się w ten sposób, że nie starsi za wzór go młodszym dawali, ale młodzi brali go sami. Miał zresztą dar podobania się i większy jeszcze ujmowania serce, szczególnie w niższych warstwach społeczeństwa, nie używając bynajmniej do tego środków jakimi się zwykle posługują domniemani przywódcy ludowi, szukający przez podżegawcze mowy, kieliszkowe koleżeństwo po karczmach, siermiężne maskarady po jarmarkach i odpustach, zdobywać sobie popularność i wziętość u ludzi. Zresztą ten rodzaj skarbienia sobie miłości społeczeństwa niebył w używaniu przed rokiem 1830. Wynalazek to emigracyjny; przedtem, bowiem

dość było żyć z ludźmi po ludzku, nieodpychać niższego kiedy przyszedł po pomoc lub radę, rozmawiać uprzejmie, wywiadywać się o zdrowie i powodzenie; nieść ratunek cierpiącym lub poszkodowanym, wglądać w sprawiedliwe obchodzenie się oficyalistów z poddanymi, a nade wszystko ze siebie dawać dobry przykład tak w kościele jak i we dworze. To wszystko wystarczyło żeby zarobić i u poddanych na miłość i zyskać imię sprawiedliwego pana, a u sąsiadów zacnego obywatela.

Tego rodzaju popularności używał Juliusz Małachowski gdy wybuchło powstanie listopadowe.

Jak wiadomo, z polecenia Dyktatora zaczęły się zaraz po prowincjach formacye batalionów i szwadronów ochotniczych; niby pospolite ruszenie ujęte w karby regularnych szeregów. Zwykle starym napoleońskim, oficerom, którzy cokolwiek zależeli pole na gospodarskim chlebie, powierzano tę czynność, lecz obok tego dozwolone było i osobom także cywilnym używającym głośniejszego imienia a posiadającym duże majątki w ziemi, robić zaciągi własnym kosztem, na co za zgłoszeniem otrzymywały nominacyą oficerską w stopniu wyższym i tym samem podlegały ogólnemu regulaminowi armii.

Juliusz zaczął formować wolnych strzelców.

Zapalony miłośnik polowania, na pierwsze wezwanie do dawnych uczestników myśliwskiej zabawy, znalazł mnóstwo leśniczych, gajowych, strzelców, górników, którzy z zapalem zbiegli się pod chorągiew kochanego młodego pana. Ludzie ci nawykli do strzeleckiego rzemiosła w okolicy leśnej, z równą ochotą szli na Moskale jak w kniei na upatrzonego zwierza. Znał on ich wszystkich od dzieciństwa i każdego umiał zawołać po imieniu; oni nawzajem znali go, jeżeli nie wszyscy z osoby, to z powszechnego uwielbienia i szacunku używanego na wiele mil do koła; jednym słowem mieli wiarę w mężstwo i roztropność swego dowódcy.

Zbliżanie się Rosyjskich wojsk pod Warszawę rozprószyło patryachalną rodzinę konieczkiego dworu. Głowa rodziny kasztelan, zasiadający w izbie senatorskiej od początku powstania przebywał w Warszawie; najstarszy syn Gustaw człowiek wysokich zdolności, piastował tekę ministra spraw zagranicznych; średni Henryk wstąpił do szeregów; sama kasztelanowa wyjechała do Krakowa, miejsca przytułku dla starców, niewiast i dzieci, obawiających się zwykłych okropności wojny, zwłaszcza z nieprzyjacielem nie-

lubiącym przebaczać ani słabości niewiast ani niewinności dzieciak.

Juliusz z oddziałem swych wolnych strzelców przeznaczony do obrony lewego brzegu Wisły, poszedł pod komendę starego doświadczonego żołnierza, pułkownika Łagowskiego, który osadziwszy trakt od Zwolenia ku Górze naprzeciw Puław, miał pod sobą oddział kosynierów półkownika Kozakowskiego, i jazdę Jana Wielhorskiego. Szczupły ten korpusik partyzancki stojący w obserwacyi, pałał żądzą zmierzania się z nieprzyjacielem, i nieraz można było słyszeć utyskiwania, że go w bezczynności trzymano, kiedy dolatywały do nich wiadomości o świetnych spotkaniach się naszych wojsk pod Dobrem, Stoczkiem, Wawrem.

Przyszła nareszcie ta upragniona chwila.

Korpus partyzancki jenerała Dwernickiego zniosłszy pod Stoczkiem Gejsmara, przerzucił się na lewy brzeg Wisły aby uderzyć na Kreutza; jakoż po starciu się pod Nową Wsią tenże w obawie by nie został odciętym od głównych sił rosyjskich, przeszedł pod Kozienicami na prawy brzeg Wisły; lewy więc zupełnie był oczyszczony z nieprzyjaciela.

Dwernicki — a było to w sam dzień wielkiej bitwy Grochowskiej (25 lutego). posłał roz-

kaz pułkownikowi Łagowskiemu aby z oddziałem swoim posunął się ku Wiśle, przeszedł ją po lodzie, i uderzył na dywizyon dragonów stojący w Puławach.

Zapał młodego żołnierza podwoił się na samą myśl że przyjdzie do spotkania.

Nazajutrz, t. j. 20 lutego, kosyniery Kozakowskiego osadzili wieś Górę; Łagowski zaś wzięwszy ze sobą stu ludzi z jazdy Wielhorskiego. i stu wolnych strzelców którymi dowodził Juliusz Małachowski, przeszedł Wisłę na naprzeciw Włostowic, zkąd kawaleryę poprowadził na Puławy, a Małachowskiemu kazał zająć krzakami od holenderni Puławskiej.

Dalsze koleje tej wyprawy a raczej cały jej przebieg nie z urzędowego opowiem już raportu, lecz cenniejszy przytoczę dokument, bo list samego Juliusza pisany do matki, który zupełnie zgadzając się z raportem dowódcy, podaje obok wielu zajmujących szczegółów, mnóstwo innych rysów dających nam poznać i wielkie serce i piękny charakter młodego wojownika.

List ten pisany w krótkce po odniesionem zwycięstwie, ma w sobie woń tego upojenia, jakiego doznaje kochanek gdy przedmiot jego miłości usłyszawszy wyznanie, wzajemnością odpłaca.

Szczęśliwy syn, dzieli się z matką tajemnicą swego serca.

„Bóg i błogosławieństwa Mamy kochanej przyniosły moim strzelcom zwycięstwo. Przeszliśmy o 3 po południu, podczas wielkiego pruszącego śniegu po jednemu Wisłę; uformowaliśmy się w ogrodzie Puławskim; a gdy wystrzały Krakusów doniosły nam, że drogi z tamtej strony miasta zajęte są przez konnicę Wielchorskiego, wpadliśmy w kilkunastu ludzi na plac puławski naprzeciw stajen rosyjskich, gdzie dragonów pieszo z karabinami opatrzonemi w bagnety uformowanych zastałem. Mając lepsze nogi pierwszy wpadłem na nich. Dano ognia do mnie i do kilku Krakusów, którzy na wiatr dla postrachu z różnych miejsc z pistoletów strzelali i w padli ze mną. Strzeliłem do dragonów z dubeltówki; trębacz ich padł, druga lufa zamoknięta nie dała ognia. W tem Karsznicki z pierwszym plutonem moim karabinierów naszedł ich z boku i raptownemi wystrzałami przymusił do zrejtowania do stajen, gdzie dragoni zasadziwszy się, z drzwi i okien zaczęli klęskę moim ludziom zadawać. Celnym strzelcom, którym kazałem się rozsypać i z poza lip stojących o 30 kroków od stajen razić nieprzyjaciela, niepodobna wystać było bez straty. Wśród walki zapłakałem

nad nimi. Mój poczciwy Dominik przyboczny strzelec, zginął ugodzony kulą w samo czoło; czterech innych padło przy lipach od krzyżowego ognia. Gdy się ta walka źle obracała na naszą stronę, gdym widział, że pułkownik Łagowski niepotrzebnie każe nam się o 50 kroków od stajen w pluton formować, przyczem zaraz trzech nam ubito, krzyknąłem na pięciu karabinierów, aby poskoczyli za mną. Do każdych drzwi po tyleż przeznaczywszy, posunąłem się do jednego okna; dano ognia zewsząd nawet z dymników. Pałaszem zrąbałem ramy i wskoczyłem pierwszy; karabinier Suchecki z Żarnowca drugi; Karsznicki trzeci; choć ciężki ale dusza piękna dodawała mu lekkości; wpadliśmy do stajen. Ciemno! wystrzały gdzieś niegdzie oświecają siedmdziesięciu zamkniętych wewnątrz dragonów, którzy bojąc się abyśmy w pień ich nie wycięli nieskładają broni; jednakże na zaręczenie moje, że nic się im niestanie, otaczają mnie i karabiny, pistolety, pałasze składają u nóg. Z drugiej strony w tymże czasie Bogusław Peszewski ten młynarz z Kościelnik od sześciorga dzieci, wpadł z czterema strzelcami i robił tę samą powinność co i ja z Karsznickim. Wszystkich było nas tam trzydziestu. Reszta strzelców uderzyła na inne stajnie. Z po-

czątku rozbiegło się to było po magazynach zboża i soli, dla przeszkodzenia spaleniu. Korzyści tego szturmego następujące: kapitan szwadronu wzięty: 5 oficerów; 210 dragonów; trzydziestu zabitych, sztandar, trębaczy kilku, koni ze 200, z których obywatele leśni co niby na pomoc, a w rzeczy na zdobycz przyszli, ze sto ukradli. Uciekło nam czterech dragonów a z 15 koni. Zabrałem sto fur ze zbożem, dwa furgony i jaszczyk. Straty nasze: pięciu zabitych strzelców, trzech rannych; pieniędzy moich w papierach 4,300 złp. a w monecie 400, które Dominik miał w torbie, gdy ten padł, w zamieszaniu zrabowano. Nie mam jak 10 złotych przy duszy. Dubeltówkę papy, gdym wdrapując się na okno, postawił, także straciłem. Wielhorski, lubo niepotrzebnie, bo cóż na koniu przeciw murom zrobić można? narażał się bardzo z kilkunastu dobranymi ułanami, z których żaden nie zginął, tylko jeden ranny i dwa konie zabito.

„Na wiadomość iż nieprzyjacieli otacza nas dokoła, rozkazał mi pułkownik Łagowski abym zasłaniał jego przeprawę, co jak najdokładniej dopełniłem, albowiem żywej duszy nieprzyjacielskiej pojmanej w przeciągu dwóch godzin wraz z furami zbożowymi, kieszonami, maruderami,

pijanymi i końmi, nic nie zostało; sam dopiero z 30 strzelcami ostatni na prom wsiadłem.

„Księżna na Boga zakłęła mnie aby do niej wstąpić co też po przeprowadzeniu wszystkich ludzi, z Kotkowskim sam lubo nieroztropnie skuteczniałem. — Kilkanaście kobiet wybiegło na moje spotkanie; między niemi pani Zamojska, Czartoryska matka, Prądyńska i t. d. przyjmowały mnie jak dawnego znajomego, lubo mając kartusz z pistoletami i ładunkami przepasany, wyglądałem jak okręt liniowy. Niebały się nic a choć jeszcze słyhać było wystrzały, już pani Zamojska była przy rannych i zabitych. Dla nieporządku po tem zwycięztwie cofnęliśmy się do Zwolenia dla odpoczynku — aliści rozkaz przyszedł aby wyprowadzić zemną strzelców na furach dla zasłonięcia przeprawy Sierawskiemu pod Puławami.

Bywaj mama zdrowa; błogosław mi lecz listu tego; lubo rzetelny, niepokazuj, boję się złych ludzkich języków. List księżny Czartoryskiej komunikuję.“

Najważniejszy punkt tego listu niezgadza się cokolwiek z raportem dowódcy, który, naturalnie przypisując sobie całe prowadzenie bitwy, powiada: „Rzęsisty ogień z drzwi i poddaszów stojących raził naszych. Nakoniec szef

Małachowski otrzymawszy odemnie rozkaz uderzenia na nieprzyjaciela, sam na czele 8 walecznych strzelców wpadł w główne drzwi stajenne. " Tymczasem rzecz miała się przeciwnie: bo kiedy dowódzca przyzwyczajony do regularnego szyku, kazał się piechocie formować w plutony pod ogniem karabinowym sypanym ze stajen, to partyzant Małachowski, któremu żal się robiło na widok ginących towarzyszy, sam bez rozkazu przypadł z kilkoma karabinierami do okna, wybił je i pierwszy wskoczył.

Szumny cokolwiek raport Łagowskiego nie nosi na sobie tej cechy prawdziwości co list syna pisany do matki; zresztą dowódzca wyprawy, z urzędu winien utrzymywać że wszystko dobre stało się z jego rozkazu. Wiedział zapewne o tem Małachowski że mówiąc o sobie prawdę, wystawiłby się na pastwę złych języków zazdroszczących mu tego pięknego dnia, którego był bohaterem, bo po cóżby prosił matki aby nikomu niepokazywała jego listu? Jak współcześnieństwie światowem, tak i wojsku. każde powołanie miewa swoich zazdrosnych.

Ostatnie wyrazy dopisku: „list Czarторыskiej komunikuję“ byłyby zagadką nie do rozwiązania, gdyby nie przypadek który od straty zachował ten dokument, równie jak inne listy Ju-

liusza, pisane w czasie wojny kiedy przesyłki podlegały największym przypadkom i nieregularnościom.

Trudno milczeniem pominąć listu księżny Elżbiety (Izabeli) Czartoryskiej pisanego w dniu tej bitwy, może nawet podczas samej akcji; odsłania on bowiem piękną stronę charakteru tak piszącej, jak osób do której odnosiła się prośba w nim zawarta.

Dnia 26 Febr. 1831 z Puław.

Jaśnie Wielmożny Dowódzco!

„Dowiedziawszy się iż w świetnej sprawie oddziału wojsk naszych, którym JW. Pan dowodziłeś, kapitan rosyjski Sakinów konsystujący w Puławach w płon wziętym został; gdy los jego teraz zależy od JW. Pana niemogę przenieść na siebie, żebym się za nim nie odezwała, oddając mu słusność iż przez cały czas mieszkania swego w Puławach, łączył rzadką ludzkość z wykonaniem obowiązków swoich, tak dalece, iż wszystko czynił na dobro mieszkańców, co tylko było w jego możliwości.

„Lubo nadto przekonana jestem że dusza JW. Pana polska niepotrzebuje przypomnienia

jak się ma z swym jeńcem obchodzić, serce moje wdzięcznością zadłużone dla JP. Sakinowa nie może przenieść na siebie, żeby go niepoleciło szczególnym jego względom; owszem ośmielałam się go prosić abyś raczył mu dać do zrozumienia że wnosłam za nim prośby moje do JW. Pana, któremu winszując odniesionego zwycięstwa i życząc żeby było przedłużone dalszym ciągiem podobnych powodzeń, zostaję z winnym szacunkiem i poważaniem JWW. Pana

sługą uniżoną

Elżbieta Czartoryska.“

Pokazuje się z powyższego listu że Małachowski był moralnym wodzem wyprawy. Jemu jednemu opinia publiczna przyznawała zwycięstwo; inaczej księżna, niezawodnie byłaby się udała ze swoim wstawiennictwem za kapitanem rosyjskim do pułkownika Łagowskiego, od którego właściwie zależał los jeńca.

Bywają różne sposoby odznaczania się na polu walki, atoli przewaga ducha ma to do siebie że góruje nad wszystkimi drobnostkami hierarchii i regulaminów i żołnierz mimowolnie robi się posłusznym na rozkaz tej przewagi

przy której często jest większa siła rozkazu, niż przy oficjalnym dowódcy.

Małachowski posiadał ten przymiot w wysokim stopniu. Żołnierz szedł za nim w ogień, bo go porywał za sobą.

Spoczynek w Zwoleniu dla zwycięzkiego oddziału prędko się skończył. Korpus Dwernickiego, posuwający się lewym brzegiem Wisły, doszedł pierwszego marca do Gniewoszewa i zamyslał nazajutrz przeprowadzić się pod Puławami na druga stronę w lubelskie aby zetrzeć się z korpusem rosyjskiem Kreutza. Tymczasem odbiera Dwernicki wiadomość że Kreutz chcąc powetować zniesienie dywizyonu dragonów przez napad 26 lutego, wysłał na zajęcie Puław jeden pułk dragonów i jeden kozaków z pod oddzielnej komendy księcia Wirtemberskiego, wnuka księżny Czartoryskiej, z rozkazem zniszczenia i zrabowania tego przybytku patryotyzmu i starożytnych pamiątek polskich.

Chcąc więc zapobiedz zniszczeniu a oraz zapewnić sobie dogodny punkt do przeprawy, wyprawił z Gniewoszowa ochotników wybranych z dwóch batalionów regularnej piechoty i posłał rozkaz pułkownikowi Kozakowskiemu ciągnącemu ze swą kolumną od Zwolenia ku Wiśle, aby tejże samej nocy stanął w Puławach.

Z Kozakowskim byli strzelcy Juliusza, i ci wraz z ochotnikami przysłanymi przez Dwernickiego, przeprowadzili się nadedniem i wyparowali nieprzyjaciela z Puław.

Rozprawę tę uwieńczoną najpomyślniejszym skutkiem, tak opisuje Juliusz w liście do matki.

„Pod Puławami w Górze d. 7 maja.

„Pisałem już do mamy list datowany ze Zwolenia, a donoszący o zabranii dywizyonu dragonów rosyjskich w Puławach. Cofnąć mi się kazano do Zwolenia dla wypoczęcia, a bardziej przed przemagającą siłą, która na odsiecz swej konnicy ciągnęła.

„We Wtorek to jest 1 maja ruszyliśmy ze Zwolenia do Puław, gdy wiadomość przyszła, że Dwernicki ciągnie ze swoją dywizją pod Puławę. We środę do biwaku mego w nocy rozkaz przyszedł, abym atakował Puławy przeszedłszy gdzie bądź Wisłę; odeprzeć nieprzyjaciela, trzymać się dopóty póki Dwernicki nieprzeprowadzi się z wojskiem. Przechodzę manowcami, lasami, ze dniem we środę do Wisły; przeprowadzam po jednym ludzi; to zrobiwszy, mając Parchatkę po prawej ręce, Puławy po lewej, dochodzę przez koniec Kępy ogrodem księżnej do przedmieścia. Z drugiej strony kapitan 5 pułku z 250

ludźmi uderza na miasto; pikiety nieprzyjacielskie cofając się nieprzyjacielowi znak dają dosyć wcześniej, aby z artylerją i kawalerją mógł wycofać się z miasta do Końskiej Woli. Dragoni z kozakami pagórki po nad miastem zajmują właśnie w chwili, gdy pod Marynki z strzelcami podchodził.

„Zaraz Karsnickiego z 50 ludźmi do promu posyłam, sam zresztą strzelców rozsypawszy się przeciw nieprzyjacielowi, wyparowałem go ze stanowiska, i aleję topolową od traktu lubelskiego w poprzek aż do Żulinek strzelcami mymi, po dwóch do topoli jednej, obsadziłem. Nieprzyjaciel usiłował nas wyprzeć z tej pozycyi tyralierami którzy hurra! z bagnetem na nas robiwszy cofnąć się ze stratą musieli. Niebawem znowu sprowadzili dwa działa i kulami chcieli nas wystraszyć; wiedzieli bowiem że nie mamy konnicy na tej stronie, więc o 150 kroków podprowadzili swe działa, wszakże nie zrobili nam szkody prócz dwóch lekko rannych. Nic niewskórawszy nieprzyjaciel znowu się cofnął; ogień ustał na mojem skrzydle. Kapitan 5 pułku zasłaniał miasto od lasu, tym sposobem przez chwilę spokojnym został. Niestety chciało że Kozakowski dowiedziawszy się iż miasto oczyszczone od Moskali, przeprawił się, i sam

przyjechawszy do mnie na koniu, kazał mi się z mej pozycyi cofnąć, mówiąc iż jest bardzo awansowaną.

„Z żalem opuściłem dogodne stanowisko, gdyż choć nie taktyk, widziałem, że w tem stanowisku opieram się lewym skrzydłem o gościniec końsko-wolski, klucz operacyi Rosyan.

„Trzeba było słuchać. Cofnąłem się więc po nad samem miastem. Mieszkańcy lubo zrabowani ze szczętem przez Moskali ostatnią nam swą żywność w ofiarze, wybiegłszy z swych domów, przynieśli. Widok ten wszystkich nas do łez poruszył. — Księżna to wpajając moralność od trzech pokoleń, dochowała się podobnych włości; doczekała się nagrody za swoją pracę; kilka tylko minut dozwoliłem na ten posiłek; ledwo pozasadzałem ludzi mych po za parkanami, za domami, gdy tentent koni i hurkot armat lecących dał się słyszeć. Wybiegam na górkę widzieć co się dzieje. Już 200 kroków odemnie Moskale bokiem z 3 szwadronami i działami szykują się w alei na prost samego pałacu księżny. O 400 kroków od jej mieszkania ogień się rozpoczyna. 120 żołnierzy 5 pułku zasłaniają piersiami swemi pałac; dwudziestu ich pada. Kula działowa uderzywszy o wielkie drzewo pod

samem jej oknem, obala je; kartacze również obijają się o mury jej pokojów.

„Księżna była spokojną, jak mi sama potem mówiła, bo Polacy ją bronili. Obejrzawszy miejscowość, spostrzegłem że jednym wąwozem można się zbliżyć do rosyjskiego szwadronu o 100 kroków; biorę 40 ludzi, idę z nimi, i każę im brać na cel każdego z osobna; pociągamy za cyngle i zaraz pada oficer, żołnierz i koni kilkanaście, umykają z miejsca, zaczyna się mięszanina; pędzą armaty, przewracają się jaszczyki — a ja mych ludzi powstrzymać nie mogę; zabiegają armatom owych 100 piechoty z 5 liniowego które mi przysłano w pomoc pod moją dyspozycyę. Widząc ten nieporządek, dopadłem oficera ich i kazałem natychmiast cofnąć się dla uszykowania linii. Tymczasem nieprzyjaciel działa zatrzymuje, szwadrony jeszcze nas nowo formują się przeciw nam; wołam, zaklinam, aby nasi cofali się do swych stanowisk. Nakoniec usłuchany jestem wtedy, gdy kartaczami do nas sypnięto, lecz niedość wcześniej aby dragoni nie zrobili na nas szarży w której zrabali nam trzech z 5 pułku i byłiby więcej ubili, gdyby nie moi strzelcy, którzy już w pogotówiu przyjęli ich należycie, bo zginął drugi oficer i kilku żołnierzy było rannych.

„Szarża dragonów była tak raptowną, że pod mojami nogami padł piechór uderzony w głowę z pistoletu od dragona; dragona zwałem z konia i konia zabrałem. Po tej porażce nieprzyjaciół już nas nie zaczepiał; zaczęliśmy rannych zbierać; już też i kolumny Dwernickiego nadciągały.

„Kozakowski przyjechał dziękczynienia mi składać; i podać walecznych do nagród, między którymi Kotkowski się mieści; sam bowiem jeden z pistoletem w ręku odbił niewolnika dwom dragonom.

„Niech mi też mama napisze czy chce abym ja ciągle takie szczegóły opisywał o naszych potyczkach? Nadewszystko o zdrowiu mojem niech nieprzepomina, bo jakaż nagroda dla mnie większa być może, jeżeli nie widzenie się z najukochańszą matką o której nawet przy huk armat myśleć i błogosławić Jej nieprzestane.

„Dwernicki za Lublinem już i na Wołyń idzie. Na drugi dzień po mojej bitwie zabrał 4 armaty pod Końską-wolą i 300 niewolnika, oraz srebra, serwis, garderobę po Wirtembergu który ledwie uciekł.

„Mnie kazano się złączyć z Sierawskim i nazad za Wisłę przejść i bronić lewego brzegu. Teraz stoję w Górze, a myśl moja zawsze

przy mamie. — Proszę aby mama zanną zawsze modliła się do Boga, żebym jeszcze mógł ją zobaczyć i spokojnie pędzić resztę dni moich przy niej. Henryk pisał mi że był na wielkiej batalii pod Grochowem i konia mu ranili.

„Rzucam się do nóg kochanej matki i t. d.“

Jenerał Dwernicki w raporcie swoim o tem powtórnem wzięciu Puław, nieubliżając innym oddziałom, największą zasługę przypisuje Małachowskiemu i jego strzelcom, jak to widać z niniejszego ustępu :

„Z kolumny pułkownika Kozakowskiego strzeley podpułkownika Juliusza Małachowskiego i strzeley górnictwa, oraz ochotnicy wysłani z batalionów mego korpusu, przeprawiwszy się przez Wisłę, wypędzili nieprzyjaciela i całe Puławy bez straty opanowali; poczem podpułkownik Juliusz Małachowski zajął wzgórze i kilka alei od strony Końsko-woli, dotykających wielkiego gościncea; a ochotnicy z batalionów udawszy się w lewo i w prawo, zajęli ważniejsze punkta Puław. Wyparci dragoni na drogę do Końsko-woli mając ze sobą dwie armaty, kilkakrotnie chcieli napowrót zająć Puławy, szczególnie dla przeszkodzenia mojemu korpusowi przeprawy którą łatwo przewidzieć mogli. — Lecz nieustraszona piechota nietylko dawała im mężny opór, ale

dwukrotnie bagnetem uderzała na szwadrony. W tych utarczkach miał nieprzyjaciół sto ludzi i kilkadziesiąt koni zabitych, o tę stratę przypisał go pułk Juliusza Małachowskiego w którym wszyscy celnie strzelają.“

Druga ta wyprawa była jakby ratunkiem z nieba zesłanym dla mieszkańców Puław. — Moskale z pod komendy księcia Wirtemberga dali zaraz uczuć zemstę swoją mieszkańcom za udział jaki brali w pierwszym napadzie Łagowskiego i zaczęli podpalać domy, rabować w mieście, uprowadzać ofiary wskazane im przez denucyantów żydowskich; na drugi dzień, to jest we środę miał być zrabowany pałac i zniszczony ogród w którym mieściło się tyle drogich pamiątek nagromadzonych przez księżną Czarotorską.

Dziwna rzecz że księżna z dworem swoim dosiadywała tak długo w miejscu, wystawionem na wszystkie niebezpieczeństwa wojny. Zapewne licząc na dawny stosunek syna swego z dworem rosyjskiem a może też i na szlachetniejsze uczucia wnuka swego księcia Wirtemberga, spodziewała się być zasłoniętą od krwawych odwetów, gwałtów i rabunków, temwięcej że proklamacye wydawane przy wejściu armii Dybicza, zapewniały wszelkie bezpieczeństwo miesz-

kańcom niebiorącym udziału w wojnie a do tej kategorii któż większe ma prawo jeżeli nie bezbronna i słaba niewiasta.

Obejście się Moskali z pod komendy jej wnuka, przekonało ją jak mało można się było spuszczać na względy wroga, który nawet z pałacu jej uprowadził był pannę Zborowską, a na pożegnanie w chwili, gdy zmuszony był cofać się przed zwyciężkami strzelcami Juliusza, bił z dział do murów tego samego pałacu w którym niegdyś jak gość przyjmowanym był z całą serdecznością staropolską Car Aleksander. — List Juliusza z 9 marca podaje w tym względzie niektóre szczegóły.

„Stoiny do tego momentu w Górze naprzeciw Puław. Wisła już tak słaba że pieszo idących utrzymać niemoże. — Wysłany przeze mnie patrol na drugą stronę dla wypędzenia kilkudziesięciu ułanów rosyjskich rabujących Puławę, ucierając się z nimi więcej jak pół godziny nad brzegiem, musiał się cofnąć na powrót, załamawszy się w kilku miejscach i kilka broni utopiwszy.

„Puławy niezmiernie ucierpiały przez rabunek nakazany jak mówią przez księcia Wirtemberga. — Miasto miało być w perzynę obrocone, gdybyśmy niebyli wpadli we środek przeszłą i

nieprzyjaciela niewypędzili.—Księżnę ledwie namówiono aby wyjechała, bo lubo Dwernicki z wojskiem przeprawił się, jednak jego cel nie jest aby kraju bronił, tylko wkroczył na Wołyń i Ukrainę.— My zaś. t. j. korpus generała Sierawskiego dla tego odebrał rozkaz cofnąć się na tę stronę Wisły, gdyż raz jakby lody puściły, mógłby nas nieprzyjaciel zniszczyć wysławszy przeciw nam jaką dywizję z wielkiej armii.

„W Puławach pustki; wszystkie domy próżne, oprócz żydowskich; jedne tylko psy wierne do ostatniego momentu powinność swą pełnią wyjąc przed domami za swojemi gospodarzami. Widok ten jest przenikający. Moskale zabierają starców, kobiety; z samego pokoju księżnej garderobianę wywieziono. — Przyszła do nas wiadomość (tibi soli) że 60.000 Austryjaków i 100 sztuk armat przychodzi nam w pomoc; przeprawiają się w różnych punktach mianowicie w Sandomierzu; armią tą arcyksiążę Karol dowodzi.

„Na Wołyń także wkraczają, najwięcej Polaków w tem wojsku i Węgrów. Sztafeta przyszła do Jelskiego w Sandomierzu od naszego rządu aby najuprzejmiej ich przyjmować; lecz widać, że to tajemnicą jest, bo dla czegoż urzędnie nam tego niedoniosą? Oficer nasz po-

ślany do Sandomierza dla dowiedzenia się o tem, dzisiaj powróci. — Dwernicki musi już być pod Uściługiem; korpus Kreutza rozprószony. — Moch 1800 zł. znaleziono, z trzema tysiącami uciekł chłopak który z matką się był i ojcem podzielił we wiosce pod Puławami.

„Niech też mama będzie łaskawa napisać mi parę słów o zdrowiu svojem i wszystkich, co mnie interesują; również o wiadomościach politycznych warszawskich, bo nieotrzymując gazet o niczem niewiem.

„O Henryku, Gustawie, o papie, niemam żadnej wiadomości, tylko że ich kocham i matkę moją nad życie.“

„Te spodziewane pomoce to z Francyi, to z Austrii, o jakich Juliusz wspomina od samego początku powstania nieustannie krążyły. Francya zawsze była na stole; Austrya występowała z arcyksięciem Karolem po każdej korzyści jaką wojska nasze odniosły. Wieści te puszczano po obozach zapewne dla wzmocnienia ducha, chociaż w istocie one osłabiały go, bo kto się spuszcza na pomoc cudzą, przestaje wierzyć w swoją własną siłę. Fortel ten popłacał i w ostatniem powstaniu i w każdym ruchu.

Sto tysięcy Francuzów czekających nad Renem, weszło aż w przysłowie obracając w żart

tę kawiarnianą politykę. — Bajki te były jednak odbiciem się zabiegów naszej kancelaryi dyplomatycznej, która szukając poparcia dla sprawy u dworów zagranicznych, stawiała różne kombinacye. — Z sekretnych tych zabiegów gdy się dostało co między publiczność, przybierało odrazu charakter rzeczywistego faktu, ze wszystkiemi na tym tle osnutemi szczegółami.

Dzienniki stołeczne mniej więcej wtórowały krążącym bajkom; żaden z nich nie miał odwagi rozproszyć tych złudzeń bądź dla tego, że w prostocie wierzył w możebność podobnej interwencyi, bądź że widział w tem środek przypodobania się czytelnikom. Atoli oprócz tych złudnych widoków, daleko szkodliwemi były głoszone po dziennikach wiadomości z pola walki, w których znoszono całe korpusy rosyjskie, lub malowano stan ich rozpaczliwy; i uawzajem przez szkło powiększające kazano patrzeć na łada drobną korzyść odniesioną przez jaki oddziałek partyzancki. — W ogóle dzienniki stołeczne były stekiem ulicznych plotek, a często i doniesień pożądańszych dla nieprzyjaciela, który bardzo pilnie czytywał warszawskie gazety, niż dla sprawy powstania. Jak rządy ówczesne, tak i nasz rząd narodowy, nieumiał się jeszcze posługiwać temi organami opinii. — Kierunek ich zupełnie zależał od in-

dywiduów czerpiących natchnienie w wyobraźni a wiadomości z posłuchu; a już było wiele, jeżeli przez znajomość z jakim adjutantem głównego sztabu, lub z którym posłem, dostała się jaka nowinka do dziennika, często niewczesna, a częściej w duchu partyi sejmowej podszczepnięta.

W obozach, osobliwie z początku, kiedy pomyslniej szły rzeczy, niepolitykowano; później, w nudach dłuższej bezczynności, rozprawiano więcej niż potrzeba. Na to wybornem lekarstwem mogła być gazeta wojskowa, podająca rzetelne wiadomości i krajowe i zagraniczne, a co najważniejsza utrzymująca ducha w szeregach przez wpajanie wiary w świętość sprawy, poleganie na własnych siłach i niemożebność żadnych układów z nieprzyjacielem.

Przypominam sobie jedno zdarzenie, bardzo wymowne, którego sam byłem świadkiem, a które potwierdza com wyżej powiedział o niedbałości w utrzymaniu ducha wojskowego.

Było to po wyprawie pod Łysobyki prowadzonej tak nieszczęśliwie że dwa kroć więcej zdemoralizowała żołnierza, niż krwawa klęska Ostrołęcka. — Oddział z kilku batalionów piechoty dostał rozkaz przeprowadzić się na prawy brzeg Wisły.

Zdążaliśmy do smutnej pamięci Maciejowic po uciążliwej, piaszczystej drodze. — W tem przełatuje koło nas jakiś oficer na koniu, zapewne od sztabu którego generała — szepnął coś jednemu ze znajomych, a ten niemiał co lepszego zrobić jak powtórzyć głośno nowinę w lot pochwyconą przez żołnierzy, tak, że błyskawicą przebiegła szeregi.

— Pokój z Moskwą! Wojna skończyła, się wracamy do domu!

I zaraz, jakby na komendę, wystrzeliło w górę paręset karabinów. Salwa na cześć pokoju i powrotu do dawnego stanu! — Drobnym ten, pojedynczy może wypadek, tłumaczy dalsze smutne koleje tej walki. — Umundurować i nauczyć robić bronią żołnierza, to jeszcze niedość; o zżołnierzaniu ducha zapomniano.

Jak owe strzały wiwatowe co posypały się bez komendy — tak sama komenda niezastąpi ducha, kiedy go niema.

Przepraszam za tę wycieczkę w bok od przedmiotu; ale mając ciągle przed oczyma tak doskonały wzór powstańczego żołnierza jakim był Małachowski, niepodobna mi było niewskażać tego niedostatku jakim kampania 1831 r. grzeszyła. — Wracam do jego korespondencyi pełnej tak zajmujących rysów.

Z Radomia pisze on pod dniem 14 marca:
„Z rozkazu jenerała Sierawskiego odkomenderowany zostałem do Radomia dla odebrania strzelców celnych z województwa. — Mam mieć 1200 ludzi; leśni są przyłączeni do mego batalionu. Puszczanie Wisły zrobiło gatunek zawieszenia broni, gdyż żadnego kroku wojennego z powodu ruszenia lodów zrobić nie można było. — Moskale korzystając z tego, rejterują się, rabują, palą i gwałtów bezprzekładnych dopuszczają się. Żymirski *) tymczasem pędząc Kreutza i Wirtemberga przed sobą, wpakował ich w takie miejsce że kapitulować byli przymuszeni, tem bardziej, że batalion z Zamościa zastąpił im na grobli. — Żądali od Żymirskiego kondycyi, aby obydwom dozwolonem było, tudzież pułkownikowi jednemu wyjechać za granicę.

„Czy przystał na to Żymirski czy nie? wiadomości pewnej niemamy. — Rozgłoszono tu jakoby Puławy spalone przez nieprzyjaciela zostały; świeżo z tamtąd przyjechawszy, świadkiem byłem że nie; jednakże pozwalają sobie niezmiernie. — Pióro wstrzymuje się pisać o zgro-

*) Musi być zapewne omyłka pióra; Żymirski niemógł pędzić Kreutza, kiedy jeszcze dnia 25 lutego zginął pod Grochowem; zapewne Juliusz miał na myśli Dwernickiego, który nie miał szczęścia zmusić Kreutza do kapitulacyi.

zach jakich się Moskale dopuszczają.— Ozdobiony zostałem krzyżem złotym za zdobycie Puław i wzięcie dywizyonu dragonów kazańskich w niewolę.— Sztandar starożytny przez Cara Pawła temu pułkowi dany, przesłałem do Warszawy i zdoła już podnóżyć Orła naszego na ratuszu. Matka Boska rzadkiej piękności w niewolę także wzięta, pod konwojem z Radomia do Warszawy odprowadzona, i osadzona w kościele Św. Jana na wieczne więzienie.

„Tytularny nasz dowódzca Kozakowski o drugiej walce mojej w Puławach żadnego raportu nie podał, gdyż Łagowski pułkownik zawsze z nim koty drąc, przedstawił go najohydniej do Warszawy.

„Komenda odebrana mu natychmiast została, a jego kazano odstawić do Warszawy.— Ale czyż ja się dla nagród lub pochwał biję? Żebym życiem mojem mógł okupić szczęście kraju, położyć tamę klęskom którą barbarzyńcy w nim wyrządzają, czyż bym się wahał? A cóż w grobie po znakach, po chwale? Tysiące innych walczyli męczenników nastaje, przemija, a dla wielkich ich mnogości, historia nawet nazwisk nie wspomina.— Walczymy wszyscy nie dla odznaczenia się, lecz w tem przekonaniu, że massa tych ofiar musi przed Bogiem litość wzbudzić;

i dać nakoniec ojczyźnie to, czego ginąć żądamy.

„Wiadomości najpomyślniejsze rozchodzą się tu u nas: rewolucya ma być w Petersburgu; jenerał Jermołow stanął na czele wojsk które w Rosyi zostały dla zasłony od granicy tureckiej; one to wykrzyknęły Jermołowa naczelnikiem.— Nadto jest piękną ta wiadomość, aby w tych momentach dać wiarę jej można; jednakże wojska rosyjskie cofają się.

„Na Wołyniu i Ukrainie czekają momentu ujrzenia chorągiewek naszych za Bugiem, co od tej chwili już być musi; albowiem Dwernicki nadzwyczajnie szybko postępuje.

„Odebrałem od papy list, w którym mi błogosławi i ukontentowanie swoje oświadcza, znajdując, żem niewyrodny synalek jego. Pomi-mo radości jaką uczułem z odebrania kilku słów od kochanego ojca, czuję, że mi brakuje jeszcze dużo, t. j. że mi się od mamy należy list, jeżeli mię serce moje niemyli.— Bilet który z Krakowa od mamy odebrałem, gdym jeszcze w Końskich był na wychodnem, towarzyszył mi wszędzie; miałem go podczas bitwy na pier-siach; błogosławieństwa matki w nim się znajdowały.— Radbym aby ten list miał towarzy-

sza; bo nieborakowi smutno samemu w kieszeni siedzieć.

„Ja bydyż może, że tu kilka dni zabawię; proszę więc aby mama tu adresowała; chyba żeby kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się. — Pod kopertą Prezesa komisji wojewódzkiej Januszewicza, *franco*, doszedłby mnie list, a w przypadku niebytności, odesłałby Prezes do miejsca gdzie się znajdować będę.

„Widziałem się tu wczoraj z księciem Czerwotyńskim, adjutantem Skrzyneckiego. — Przed samym wyjazdem na dwa dni wprzód widział on Gustawa i Henryka: obadwa byli w ogniu pod Grochowem; Gustaw *en amateur* latał gdzie najwięcej ludzi ginęło; chciał sobą luki zapełniać.

„Zostaje mi tylko miejsce do ucałowania kochanych nożek i t. d.“

W powyższym liście robi wzmiankę o odebranym piśmie od ojca z Warszawy bardzo pochlebnem dla niego; otóż znajduję odpowiedź przesłaną ojcu nazajutrz po napisaniu do matki pod datą z Radomia dnia 15 Marca. — Mniej więcej treść jedna obydwóch listów; wszakże dla szczegółów odnoszących się do pierwszej sprawy na Puławę, niemogę go pominąć.

„List najukochańszego papy z błogosławieństwem, był dla mnie prawdziwą nagrodą. — Cie-

sze się nim i chlubię widząc, jak pomimo tylu zatrudnień i przeszkód drogi papa o mnie pamięta i kilka pocieszających słów przesyła; a nade wszystko że przez moje czyny radość w sercu ojcowskim wzniciłem.

„Jenerał Sierawski przywiózł mnie tutaj dla odebrania strzelców z całego województwa, którzy pod moją komendę przejść mają.— Puszczenie Wisły dozwoliło mi zatrudnić się tem, tem bardziej, że kroki nieprzyjacielskie wstrzymane z tego powodu zostały i z przyczyny spalenia statków przewozowych przez Moskali.— Otrzymałem krzyż wojskowy za zdobycie Puław i wzięcie dywizjonu dragonów rosyjskich w niewolę; niemniej za zabranie sztandaru, kaplicy rosyjskiej, stu kilkudziesięciu fur ze zbożem.— Wszystko, niechcąc się papie, winni mnie jednemu, co każdy sprawiedliwy człowiek przyświadczy; atoli Łagowski jako starszy, przypisuje sobie sławę tę i psy wiesza na Kozakowskim, który nie jest orzeł, lecz błędów niepopułił takich jak ten, co go oskarża.

„Z tej to przyczyny komenda Kozakowskiemu odebrana (słusznie, bo nie jest taktyk) lecz niezasłużył sobie aby pod konwojem do Warszawy był odstawionym. — Z tej to przyczyny niema raportu Kozakowskiego o drugiej bitwie

w której miałem szczęście i sposobność odznaczyć się, a oraz podać kilku walecznych do nagrody.— O mnie mniejsza; bo nie dla nagród walczę i życie poświęcam; lecz za podkomendnych winienem się upomnieć, tak za kilkoma żołnierzami, jako oficerami.

„Wpadłszy pierwszy do stajni oknem, zkąd rażono moich ludzi, a zamnă Karsznicki podporucznik i sześciu żołnierzy, z których jeden zginął—wszyscy zasłużyli nagrodę mężnych, gdyż wszyscyśmy na śmierć oczywistą poszli.— Bóg zrządził inaczej. — Zastaliśmy w stajni 80 dragonów zbrojnych; w przyległej izbie 30; na strychu kilkunastu, którzy jeszcze strzelali do nas gdyśmy rozbrajali drugich; za nami gdy drzwi otworzyliśmy, wpadło 30 strzelców. Reszta miała stanowiska swoje przy magazynie, przy karczmach, gdzie bez walki jeńców zbierano.— Byłoby dużo o tym dniu pisać; lecz Bóg dozwoli może mi tego szczęścia, że ustnie, przy herbatce kiedy obszerniej opowiem, aby papa słuchając drzymał sobie.

„Od mamy żadnego listu nieodebrałem jeszcze; jeżeli papa jaką sposobność będzie miał napisać do mnie na ręce generała Sierawskiego, niechże mię zaspokoi o zdrowiu najukochańszej mamy i wszystkich co mnie interesują.

„Rzucam się do nóg ojcowskich błagając nieustannie o błogosławieństwo.“

Bałamutne wiadomości jakie Juliusz przesłał matce o kapitulacyi Kreutzza, o buncie wojska rosyjskiego pod Jermołowem, ciągle krążące po obozach, i zawsze zawodzące, nigdy nie miałyby miejsca, gdyby Rząd postarał się być, jak już mówiłem o gazetę wojskową, pilnie rozsyłaną po wszystkich, nawet najbardziej wysuniętych i oderwanych komendach. — Żołnierz bijący się za sprawę tak świętą, jak niepodległość ojczyzny, musi się interesować jej stanem; trzebaż go o nim oświecić, dostarczając rzetelnych wiadomości; w niedostatku bowiem takowych, zmuszonym jest chwytać się bajek, jakie wiatr do obozu przynosi.

Nie dziwię się więc Juliuszowi, uskarżającemu się na zupełny brak wiadomości politycznych i wojennych, że chwyta i dzieli się niemi z matką przebywającą w Krakowie, kiedy nie innego niema jej donieść. — Trzeba też wiedzieć że w ówczas bardzo mało zajmowano się urzędzeniem spiesznej i pewnej komunikacyi pocztowej.

Jakie urzędy pocztowe zastała rewolucya, takie nadal się utrzymały, tylko przybył nowy nieład. — List rzucony na pocztę, jeżeli doszedł podług adresu, to chyba przypadkiem; obciąż-

żony pieniężną przesyłką, rzadko dochodził — Wymówka była łatwa; czasy wojenne! — Zdarzało się nieraz że po parę i więcej tygodni znaczniejsze nawet oddziały wojska zostawały bez żadnej komunikacyi ze stolicą; nikt nie odbierał listu, ani gazety, mimo że komunikacya niebyła przez nieprzyjaciela przeciętą. — Przy dzisiejszym stanie kolei żelaznych i drutów telegraficznych trudno pojąć jak ważny ten środek porozumiewania się był zaniedbany wówczas — ale niema się czemu dziwić — charakterystyczna to strona powstania listopadowego, że w całej wojnie, i w urzędzeniach nic a nic nie odstępiono od dawniejszego trybu. Silniejszego nieprzyjaciela można pokonywać niespodziankami, nowemi sposobami, które go derutują; lecz na to zmysłu nie było; a choćby mogła była znaleźć się nie jedna głowa z nowym pomysłem; to trudno byłoby jej przebić się przez regulaminy i rutynę starych napoleońskich żołnierzy.

Wojna ta, jednym słowem, nie miała nic a nic charakteru rewolucyjnego w dobrem znaczeniu tego wyrazu, i dla tego, przy najpomyślniejszych warunkach, skończyła się tak niedołąźnie.

We dwa dni po liście pisanym do ojca znajdujemy list do matki datowany z Radomia pod dniem 17 marca, który najlepiej maluje je-

go miłość synowską i to wzniosłe religijne uczucie wszczepione mu przez matkę.

Ów list pisany pod wrażeniem pierwszej wiadomości otrzymanej w obozie od matki, tak brzmi:

„Gdy po odebranej wiadomości w nocy z Kozienic od generała Sierawskiego, iż nieprzyjaciel idący w sile od Warszawy ku Puławom, przyprowadził już do Puław pontony i pomost które na kępie nad samą Wisłą przysposabiają — szedłem do kościoła dla wypowiedania się wielkanocnego, zastąpił mi drogę Eret z listem mamy najukochańszej. — Poczytałem tę pociechę za przebaczenie i pojednanie się z Bogiem; dla tego też śmieiej pobiegłem dopraszać się miłosierdzia i niepamięci.

„List twój kochano mammo nieodstąpi mię do skończenia kampanii, będę za tarczę uważał błogosławieństwa z taką miłością macierzyńską mi dawane; a jeżeli przez nie śmiertelny raz zdoła się precisnąć; w jednym ręku twoje błogosławieństwo, w drugim trzymając pałasz dobyty w obronie drogiej nam ziemi, otworzę zapory nieba.

„Czyż można smucić się nad moim losem?

„Prawdziwie honor mi robią że każą moim strzelcom bronić przeprawy Dybiczowi, który wczoraj o 3 mile od Puław miał główną kwa-

terę. Sierawski w Kozienicach siedzi dla tego spokojnie, że ma przy sobie kilka tylko armat; gdy tymczasem działami jednemi coby można przeszkodzić rzuceniu pontonów.— Do tego momentu 5 szwadronów jazdy i moich 200 strzelców w Górze od Kozienic aż do Janowca brzegów pilnowało. — Pułk Szydłowiecki pośpiesza ku Zwoleniowi; a o 3 i 7 piechoty, o pułku jazdy jednym i 12 armatach, słysząc, że się w tymże kierunku mają udać, gdzie i ja po napisaniu listu tego dążę, to jest do Góry pod Puławami.— Kordelas nie doszedł mnie, za dukaty, za trzos najśliczniej dziękuję.

„List który mi mama wymawia, iż bez daty był napisanym, jest z Góry.— Lecz w nim jest powiedziane iż kazali nam się cofnąć.— Dystrakcyja ta z tej przyczyny, że z rozkazu Sierawskiego posłałem był 30 ludzi na tamtą stronę Wisły, dla przywiezienia soli z magazynu; wyglądałem za nimi jak kura za kaczetami, bojąc się aby napadnięci nie byli.

„Już teraz najlepiej aby listy adresowała mama na ręce jenerała Sierawskiego, gdyż komunikacye zemną będą częstsze.— Zaufanie jakie wemnie pokładają mocno mi pochlebia. — Sierawski chce abym miał pułk; a tymczasem

wszystkich strzelców pod moją komendę pchają, a oficerów dużo translokować się chce do mnie.

„Skrzynecki, gdy mu sztandar przezemnie zabrany, oficer oddał w Warszawie, rzekł: „Narzekaliście że niedoświadczonych ludzi sztabsoficera mi porobiłem.— Cóż to dla niego? Juliusz wart komenderować brygadą.“ Dla tego może że ja pochwał unikam i chcę nieoszczędzać się, tylko się bić jak żołnierz, wielu przyjaciół pozyskałem sobie.

„Bywaj mama zdrowa; niechaj dniami mego życia jej przedłużyć się, a szczęście jej jedynem mem szczęściem będzie na tym świecie.“

Elementa wchodzące w skład charakteru Juliusza, robiły zeń człowieka należącego do innej epoki.

Poetyczna i religijna exaltacja łączyła się w nim z najściślejszą praktyką i karnością żołnierskiego rzemiosła.— Serce czuło się silne błogosławieństwem matki, wierzyło że nawet kula nieprzebiję listu z jej błogosławieństwem, a choćby i przebiła, to on z pałaszem w jednym ręku, z listami jej w drugim, stanie przed Bogiem jak najczystsza ofiara...

Obok tego głowa trzeźwo patrząca na świat i sprawy jego — a jeżeli kiedy miewa dystrakcyę, to nie z rozmarzenia. — Zapomniał położyć

daty na liście — wymawia mu tę dystrakcyę matka — on się tłumaczył: że niespokojny o los 30 strzelców wysłany na stracone imie, tak się dręczył i niepokoił, że o dacie zapomniał.

Jakżeż on niepodobny do dzisiejszych exaltowanych bohaterów rewolucyi występujących na widownią z intencjami zbawców ludzkości!

On tylko poświęcał siebie, — kiedy ci terroryzują zmuszeniem do poświęceń; serce jego krwawiło się kiedy mu niepotrzebnie ubito kilku żołnierzy, a ci obojętnie patrzą na hekatombę z ludzi i całych ziem; bo to, jak mówią, posuwa sprawę rewolucyi, zowie się postępem ludzkości.

Lubo sława i zaszczyty, niebyły dla niego bez powabu i pochlebiały jego miłości własnej, tej słabości, od której najdoskonalszy nie jest wolnym — atoli on ich nie szukał, one go znalazły, odznaczyły jako żołnierza najlepiej pełniącego swój obowiązek. — Wszystkie te rysy, należą do innej formacyi społecznej... Takiego Juliusza mogła tylko wydać tradycya narodowa, w całej czystości przechowana w pobożnym domu.

Ostatni z listów Juliusza pisanych do matki nosi datę 26 marca z Góry pod Puławami. — Zdaje się że porwany ruchem gotującej się przeprawy korpusu Sierawskiego na prawy brzeg Wisły, nie miał już sposobności pisania, a jeżeli

pisał, to list niedoszedł swego przeznaczenia, bo niezawodnie byłby się przechował w zbiorze drogich po nim pamiątek.

„Po odebranych rozkazie w Radomiu, spieszenia na swój posterunek dla bronienia przeprawy nieprzyjacielowi przez Wisłę, pojechałem konno na całą noc do Góry w przekonaniu, że się rano z Moskalami spotykać będę; lecz skończyło się na demonstracyi z obu stron. — Dział nam przysłali z Kozienic które ukryliśmy, aby większe zrobić wrażenie i niedać poznać nieprzyjacielowi naszych sił.

„Nieprzyjaciel odciągnął naprzeciw Gniewoszowa do ujścia Wieprza, gdzie usypano baterię i most robić zaczęto. — Podprowadzone parę dział naszych w tych dniach, centrownym ogniem skuteczny popłoch na tamtej stronie zrzędziły. Powiększona w nocy bateria nieprzyjacielska osadzona kilkunastu działami ciężkiego kalibru, zaczęła ogniem swym zakrywać ambarkację kilku statków i dubasów napełniających się piechotą. — Na te wystrzały, lubo poniżej o dwie mile dały się słyszeć, stanęliśmy pod bronią; jakoż w parę godzin oficer komenderujący pół baterią w Łęgu, dał znać o swem niebezpieczeństwie. — Wiadomość ta doszła generała Sierawskiego w przejeździe jego przez Górę. — Rozkazał mi natych-

miast na czele strzelców iść w pomoc zagrożonemu posterunkowi. — Lecz w marszu przyszedł raport, że kilkanaście wystrzałów armatnich z naszej strony, przymusiły nieprzyjacielską piechotę do odstąpienia swego zamysłu. — Posłałem jednak z rozkazu generała jedną kompanię strzelców i parę dział w pomoc majorowi Sakowskiemu a sam zresztą ludzi powróciłem na swe stanowisko do Góry, z kąd lada moment wymaszeruję z batalionem ku Solcowi; donoszą bowiem ztamtąd o częstych poruszeniach na drugiej stronie Wisły. — Marudzimy więc od dawna marszami i kontomarszami.

„Naczelnny wódz zrobił mię dowódcą brygady złożonej z batalionu 2 pułku Sakowskiego, batalionu wyborczego z 15, 16, i 21 pułków i wszystkich strzelców, których cztery bataliony mają po 300 ludzi. — Zaufanie to naczelnego wodza we mnie, przymusza mię, abym wszelkich sił użył by mu odpowiedzieć i aby poświęcenie się moje dla kraju na coś się przydało.

„List kochanej i drogiej dla mnie matki odebrałem z Krakowa pod datą 18 marca; sam podpis mamy jużby mnie uradował, a cóż dopiero tak czułe wyrazy! Zazdrości której mama się lęka w moich kolegach, niedoznaję; i owszem pochlebne ich wyrazy a razem otwartość która

w nich się maluje, przejmują mnie przyjaźną dla nich wdzięcznością.

„Poświęcenie się Polaków jest tak wielkie że żadnego osobistego interesu nigdzie dotąd spotkać mi się nie przytrafiło; wszyscy życie w ofiarze ojczyźnie przynoszą, i gdyby, jakto Krukowiecki powiedział: dobosza na naszym czele postawiono — niktby się nie zdziwił, każdy ginąłby przy nim bez wahania.

„Z Radomia ze cztery listy do mamy pisałem a przynajmniej trzy. — Wzmianki mama o nich nie robi czy odebrała, tylko zawsze o niejakiem liście pisze, gdzie daty nie było: gdy tymczasem ja nic nie mówię o tym ostatnim który zaczyna się od: „Mój drogi, mój kochany Julku!“ a list ten jest niepodpisany przez nikogo; — charakter nie jest maminy; pismo jednakże zdaje mi się że znam. — Korzystając więc z tego, kolegom moim niektóre kawałki pokazywałem, zazdrościli mi, że mię kobieta tak serdecznie kocha, i dziwili się stałości jej.

„Przyszło tu do Góry kilka listów do Henryka, do pułku sandomierskiego jazdy; jest pomiędzy niemi od P. Heleny. — Pomyłka z tąd zasła, iż jest dwa pułki sandomierskiej jazdy; jeden pod Sierawskim, drugi gdzieindziej. — Gustawa listy do Henryka także przywendowały

tutaj. — Odesłałem je napowrót. — Jeżeli mama będzie łaskawa pisać do mnie, to niech pisze do Solca na ręce generała Sierawskiego. — Każda litera mamy teraz więcej niż kiedy, jest dla mnie skarbem; dla tego też za obydwa odebrane, listy najmocniej, najczulej, dzięki składam; a teraz nóżki mamy drogiej najserdeczniej całuję — i otaczającą ją kompanię wolny strzelec, całuję bez ceremonii.“

Otóż i cała pozostałość po Juliuszu w tych szczegółach opowiadanych pod wrażeniem bitew i w tych uczuciach dla rodziców, dla ojczyzny, odsłaniających tak piękne, tak rozmaite strony tej czystej duszy.

Resztę jego życia porachowaną już na dnie, złożę z tych rysów które pozostały w zapiskach towarzysza broni i w urzędowych raportach naczelnego wodza Skrzyneckiego.

Mąż ten umiał ocenić poświęcenie się, talent i męstwo Juliusza, kiedy pod jego rozkazy poddał kilka batalionów piechoty i strzelców; co więcej, widział on w nim doskonały wzor chrześcijańskiego rycerza i chciał go postawić na świeczniku na widok całej armji.

Młody bohater przybiegłszy w krótkim czasie tak ogromną przestrzeń, pozwalał wróżyć o sobie że niebawem stanąłby na czele oddzielne-

go korpusu; lecz opatrność inaczej zrządziła.— Zapewne dla okupienia win naszych potrzebną jej była ta czysta ofiara, i powołała ją do siebie.

Zwycięstwa głównej naszej armii odniesione przez Skrzyneckiego w pierwszych dniach kwietnia nad korpusem Rosena pod Wielkim Dębem i Wawrem, zmusiły nieprzyjaciela do zaniechania przeprawy na lewy brzeg Wisły, a tem samem i naszym oddziałom partyzanckim broniącym rzeki, otwierały pole do zaczepnego działania na drugim brzegu.— Naczelný wódz pragnąc wzmocnić korpusik generała Dwerńskiego posuwający się na Wołyń, posłał rozkaz Sierawskiemu, rozciągniętemu w sandomierskiem nad Wisłą od Góry do Solca—aby przebył rzekę i posunął się ku Lublinowi, uwiadamiając go oraz, że generał Pac z dywizją swoją, liczącą 12.000 żołnierza, przejdzie jednocześnie przez Wisłę i zaatakuje korpus Kreutza stojący pod Lublinem.

Jakoż Sierawski na dniu 14 kwietnia przeprowadził się na galarach przez Wisłę pod Solcem a częścią pod Kaźmierzem.— Ogół sił jego składał się z siedmiu batalionów powiększej części uzbrojonych w kosy, z dwunastu szwadronów nowo utworzonej jazdy ze strzelców Małachowskiego już doświadczonych w ogniu, z sześć-

ciu dział, z których dwa trzy funtowe, co wszystko razem mogło wynosić 7 do 8 tysięcy — atoli pod względem wartości, siła ta niezaszpeciłaby jednego tysiąca starego, wyćwiczonego żołnierza, tem bardziej, że tylko mała cząstka miała broń palną.

Rozkaz naczelnego wodza polecał Sierawskiemu prowadzić wojnę partyzancką, przez wzgląd na niepodobieństwo mierzenia się we wstępnym boju, z regularnymi pułkami rosyjskimi którym właściwie dywizya generała Paca miała stawić czoło. — Sierawski jednak, wyobrażając sobie że Kreutz małemi rozporządza siłami — a do tego palając chęcią popisania się jakim walnem zwycięstwem, postanowił — dumny dawnemi powodzeniami swego korpusiku a właściwie strzelcami Małachowskiego i jazdy Wielhorskiego — nieczekać na Paca, z którym nierad był dzielić się sławą — tylko pomknąć śmiało w lubelskie, z widocznym zamiarem uderzenia na ważny punkt, t. j. Lublin, gdzie nieprzyjaciół trzymając się na ostrożności, znaczne zgromadził był siły. — Dnia 16 kwietnia pułkownik Łagowski, będący w przedniej straży dotarł aż do Bełżyc, gdzie spotkawszy liczbą przemagających Moskali i mających silną artylerję, dał znać Sierawskiemu, że bez znacznych posiłków utrzymać się niemoże. —

Pospieszył generał ze swoim korpusem w zamiarze wydania bitwy; nazajutrz wszakże, zwołana pod wieczór rada wojenna w kwaterze generała uchwaliła, silnie poparta przez niego, aby tej jeszcze nocy uderzyć z kosynierami na Moskali stojących o ćwierć mili pod wsią Radowczykiem.

Przypominam sobie, co mi opowiadał ktoś z osób należących do jego sztabu, że niebawem po tej radzie wojennej, wpadł do obozu szlachcic jeden z sąsiedztwa, nazwiskiem Brzeziński i kazawszy się zaprowadzić do generała oświadczył mu pod sekretem, że jedzie prosto od Kreutza który w najlepszej intencji dla Sierawskiego każe go prosić żeby się cofał o ile można najspieszej, bo jego korpusik zje na śniadanie. — Kreutz jak wiadomo, był jednym z generałów dość przychylnie usposobionych dla Polaków, lecz mimo tego pełniących swoją powinność. — Okoliczność ta dobrze znana Sierawskiemu, powinna go była mniej zarozumiałym uczynić; tem więcej, że ów szlachcic najdetaliczniej opisał siły rosyjskie wynoszące 18,000 liniowego żołnierza i czterdzieści dział.

Wiadomość ta ostudziła niewczesny zapal, a oraz rozbiła tyle słodkich nadziei jakimi się pojono, że korpus Sierawskiego złączywszy się z Dwernickim, wkroczy imponującą siłą na Wo-

łyń — tymczasem groźny przeciwnik zastąpił drogę i do odwrotu zmuszał.

Znany z walecznych dzieł w Hiszpanii, pułkownik Młokosiewicz, dowodzący 11 pułkiem nowo sformowanej piechoty, radzi natychmiast przedsięwziąć odwrot. — Sierawski zawsze nie dowierza i opiera się, chcąc stawić czoło; ale pokonany czy przekonany zdaniem większości zgromadzonych dowódców, każe oddziałom cofać się do wsi Wronowa.

Szczegóły bitwy wronowskiej i klęski dnia następnego, najlepiej opowie naoczny świadek, kapitan kwatermistrzostwa Kalixt Horoch, który, spisał pamiętnik tej nieszczęśliwej wyprawy Sierawskiego.

Jemu oddaję pióro:

„Koło godziny 9 rano — mówi no — cały korpus stanął pod Wronowem: w pierwszej linii strzelcy celni Juliusza hr. Małachowskiego i Krzesimowskiego pułkownika, zajęli zarośla przed wsią Wronowem i samą wieś obsadzili; pułki liniowe piechoty 10 i 11, stanęły po obydwóch stronach gościńca wiodącego do Kazimierza.

„Sześć armat bardzo małego wagomiaru, stanęło na wzgórzu za wsią Wronowem między pułkami 10 i 11; konnica zajmowała pole dogodne do działania na prawym skrzydle kor-

pusu.— Zaledwie żołnierze znużeni, zaczęli jeść gotować, nieprzyjaciel nadciągnął i ustawivszy na wzgórzach 20 dział ciężkiego wagoniaru, okropnym ogniem nas przywitał.— Działa nasze zaczęły strzelać bezskutecznie.— Nieprzyjaciel poznawszy słaby ogień dział naszych, posuwa artyleryę dużo naprzód przed swoje linie — i wielką szkodę w ludziach nam sprawia.— Jenerał Sierawski chcąc korzystać z podanej sposobności, dwa dywizyony jazdy kaliskiej prowadzi na rosyjskie działa, lecz jazda w nieładzie się cofa; Sierawski zatrzymując uciekających o mało że nie wpadł w ręce nieprzyjacielskie. Strzelcy celni Juliusza Małachowskiego i pułkownika Krzesimowskiego, zatrzymują jazdę rosyjską i ocalają jenerała.

„Gdy armatki nasze, które broniły wsi Wronowa, wystawione na ogień 20 dział pozycyjnych rosyjskich, mając dowódcę rannego, straciwszy większą część kanonierów i prawie wszystkie konie, ucichły — jenerał rosyjski Murawiew na czele 6 batalionów piechoty zdobywa wieś Wronowę, której strzelcy nasze, przeciwko tak przełamującej sile, niemogły dłużej bronić.— Strzelcy Juliusza Małachowskiego i pułkownika Krzesimowskiego, cofając się, zaprzęgają się do dział naszych sześciu opuszczonych, i uprowadzają

takowe z pobojowiska gościńcem ku Kazimierzowi aż do lasu, gdzie konie zaprzężono.

„Środek nasz złamany, zmusza skrzydła do odwrotu; i ten na całej linii w porządku się odbywał, pomimo że artylerya konna rosyjska na bliski strzał naszych kolumn przyjeżdżając, wielkie szkody zrządziła.

„Po godzinie drugiej z południa, na polu bitwy, odbiera generał Sierawski od naczelnego wodza uwiadomienie następujące: ponieważ generał Kreutz, z Lublina z korpusem swoim posunął się ku Siedlcem, generał Pac dostaje rozkaz, ażeby ze swoją dywizyą nachylił się przez Potyczę ku szosie Siedleckiej.

„Pokazuję się z tego, że w głównej kwaterze miano niedokładną wiadomość o ruchu korpusu Krentza, co jednak nieusprawiedliwia Sierawskiego, który powinien był znać słabość sił swoich i zamiast staczania walnych bitew, prowadzić wojnę paryzaneką, jaka mu właśnie przez naczelnego wodza poleconą była.

„W tem położeniu niepozostawało nic innego jak ratować swój korpusik przez wprowadzenie go do lasu, przez który idzie droga do Kazimierza, a las był błotnisty i gęsty—obrona możliwa. — Na zasłonę odwrotu odkomenderowany Juliusz Małachowski ze swoimi strzelcami, za-

trzymał nieprzyjaciela tak długo, dopóki Sierawski wolnym pochodem niestanął z resztą wojska w Kazimierzu. Piechota rosyjska napróżno usiłowała wyprzeć strzelców z ich zasadzek leśnych.

„W pierwszym natarciu nieprzyjaciel stracił od celnych strzałów wszystkich oficerów prowadzących swoje oddziały. — Do późnej nocy Małachowski ze strzelcami walczył jeden przeciw dziesięciu, słowem i przykładem zapalając męstwo swoich. — Sierawski stanąwszy na rynku kazimierskim, spotyka się tam z generałem Szembekiem wysłanym umyślnie aby go radą wspierał. — Obraziło to jego miłość własną — i co przed parą godzinami w ciągu marszu dawał rozkazy dowódcom oddziałów w jakim porządku mają przeprować się przez Wisłę — nagle zmienia plan i wręcz dowódcom oświadcza:

„Nie jestem pobity, przeprować się nie myślę i w Kazimierzu zostanę, póki mi się podobać będzie.“

„Stałem o dwa kroki od generała — pisze kapitan Horoch — gdy te wyrazy powiedział, których do śmierci niezapomnę. — Przewidywałem bowiem z innymi, okropne skutki, które na nieszczęście spełniły się nazajutrz.“

Błędy wodzów krwią swoją opłacają żołnierze.

Wnocy wydał Sierawski rozkaz wszystkim oddziałom, aby gotowały się do boju i przededniem przepisane stanowiska zajęły. — Tylko chorym i rannym pozwolono przeprawić się na lewy brzeg Wisły.

Noc przeszła spokojnie. — Nazajutrz, 18 kwietnia — który to dzień liczy się do dni żałobnych w pamiętnym roku powstania, — ze wschodem słońca wszystkie oddziały stały już pod bronią. — Małachowski ściągnął wysunięte posterunki strzelców swoich, i wszedł do miasta. — Wszyscy witali go jak zbawcę korpusu. — On, jak zawsze skromny, rzekł na to: „Dziękuję wam koledzy za te pochwały; zrobiłem tylko swoją powinność równie jak i ci, którzy byli pod moimi rozkazami.“

„Niewyspany, znużony, głodny poszedł z nami do zajezdnego domu na kawę. — Po krótkiej chwili, gdy wychodził z izby, szlifa mu jedna odpadła; odbierając takową z rąk oficera, który ją podniósł, rzekł do kolegów: „„zły to znak; mam przeczucie że mnie coś niedobrego spotka.““

W chwili tak gorączkowej, wyrazy te rzuciły jakby przelotny czarny cień, od którego sposepniali wszyscy. — Przeczucie bliskiej katastrofy, odezwało się w niejednej duszy,

Miasto Kazimierz ze swojemi rzeźbionemi kamienicami, podcieniami, gotyckim kościołem, i opuszczonemi starej struktury spichrzami, leży w głębokiej kotlinie nad samą Wisłą; dokoła opasują je wzgórza okryte lasem; nad niemi sterczą ruiny zamku; o stromych brzegach wawązy wchodzą do samego miasta. — Obrona polegała tu jedynie na obsadzeniu wawozów i lasu strzelcami, i na małej liczbie piechoty, opatrzonej bronią palną.

Sierawski gotował się do przyjęcia najniepotrzebniejszej bitwy.

Za miastem na wzgórzach przy gościńcu idącym od Wronowa, ustawił działa, a raczej nasze pukawki. — W pierwszej linii w rzadkim lesie najważniejsze stanowisko przeznaczył Małachowskiemu, dodając mu do jego strzelców oddział piechoty 11 pułku, opatrzony w karabiny. — Kosyniery zajmowali drugą linię. — Na prawem skrzydle, za miastem, na stromych wysokościach rozrzucił strzelców celnych pułkownika Krzesimowskiego; pod lasem stało dwa bataliony piechoty liniowej i szwadron jazdy sandomirskiej Wielhorskiego.

Około godziny 8 rano, huk dział oznajmił o zbliżeniu się nieprzyjaciela traktem od Wronowa, — zaraz też rozpoczął się bój w punkcie,

gdzie stał Małachowski ze strzelcami.—Pomimo tak przemagających sił rosyjskich, stanowisko to bronione było z prawdziwą bohaterską stałością, przez kilka godzin, — nikt nie myślał o cofnieniu się; — dopiero koło południa, dla braku nabojuw ogień nasz począł słabnąć.

Zmiarkował to nieprzyjaciel i ośmielony, posunął gęsty łańcuch tyralierów wspartych silnymi kolumnami piechoty — i bliskimi strzałami zmiatał nasze szeregi.

Strzelcy jedni wystrzelani, drudzy prawie bezbronni, niemogli już stawić czoła.

Była to chwila rozstrzygająca.

Małachowski cofając się ku oddziałowi kosynierów, stojącemu w odwodzie, który zaczynał już mięszać się i pierzchać — przypada doń, wstrzymuje, a zagrzewając swoim przykładem, porywa kosę z rąk uciekającego kosyniera.

„Za mną! z kosynierami Kościuszko wygrał bitwę; pokażcie się godnymi racławickich kosynierów...”

„Przemówił — i oddział z najeżonymi kosami rzucił się za swoim dowódcą...

Posypały się nieprzyjacielskie strzały...

Młody bohater siedmią kulami przeszyty, upada z kosą w rękę.

Bliżsi świadkowie tego zgonu, chcąc się pomścić, zacięcie walczą o ciało ukochanego dowódcy — lecz muszą ustąpić przemagającym siłom. Jedna tylko szlifa po zabitym zostaje w rękę naszego oficera.

Z Juliuszem poległ duch bohaterski.

Nieprzyjacielowi nikt już niestawi czoła... wszystko pierzcha.

Jenerał Sierawski z resztkami korpusu i z dwoma działkami co zawczasu zrejterowały, nie ścigany przez nieprzyjaciela, udał się drogą do Puław, a ztamtąd do Borowy przy ujściu Wieprza, gdzie się przewiózł na drugi brzeg Wisły.

Jeżeli po klęsce nie ścigał go nieprzyjaciel i zostawił mu wolną drogę do odwrotu, tem więcej przypuszczać można, że tą samą drogą, wyruszywszy z Kazimierza wcześniej byłby cały korpus bez szwanku w bezpieczne zaprowadził miejsce.—

Straty nasze materyalne podług raportu wynosiły około 2.000 ludzi.

Straty moralne, były o wiele dotkliwsze; pierwsza ta bowiem większych rozmiarów klęska, poniesiona bez żadnej potrzeby — bo i klęski bywają potrzebne jeżeli są nieuniknione — zachwiała wiarę w powodzenie naszego oręża; rozpoczęła nareszcie szereg klęsk, które już nieprzerwanym ciągiem towarzyszyły nam do samego końca.

Strata Juliusza boleśniesz od samej przegranej, była niedopowetowania.

Mówiono o niej w obozach, w salonach stolicy, w tłumie ulicznym; a nawet mówił lud wiejski, wracający do domu z rozbitych kosynierskich szeregów, niemający już nikogo ktoby go prowadził.

Oplakiwano młodzieńca jakby zgasała nadzieję.

Naczelny wódz w raporcie do rządu narodowego, nazywa śmierć Juliusza: „nieoddziaływaną szkodą dla wojska i kraju.“

Gazety pisały mu pochwały pośmiertne wierszem i prozą; po sklepach sprzedawano jego portret litografowany z kosą w ręku. — Trwało to parę tygodni, dopóki bieg zdarzeń i nowych katastrof niezatarł bolesnego wspomnienia. — On, co za życia nieuganiał się za chwałą, jakże li tośnie poglądał gdzieś z wysokości swoich nadziejskich na ten szmer papierowy!

Duch jego zapewne zatrzymał tę tęskną myśl jaką był w jednym ze swoich listów rzucił do matki:

*„Czyż ja dla nagród lub pochwał się biję?
Żebym życiem mojem mógł okupić szczęście ojczyzny,
położyć tamę klęskom, które barbarzyńcy w niej
wyrządzają, czyżbym się wahał umierać?“*

„Cóż w grobie po znakach, po chwale?“

„Tysiące innych walecznych męczenników nastaje, przemija, a dla wielkiej ich mnogości historia nawet nazwisk niewspomina. — Walczymy wszyscy nie dla odznaczenia się, lecz w tem przekonaniu, że liczba tylu ofiar musi przed Bogiem litość wzbudzić i dać na koniec ojczyźnie naszej to, czego ginąć żądamy.“

W ustępie tym jako najważniejszym z jego listów, objawia się jakieś mgliste przeczucie tej krzyżowej drogi, co miała otworzyć się przed narodem męczenników... Niewiadać żeby go obecne położenie upajało tryumfami mającemi się oprzeć o Dniepr i Dźwinę, chociaż na tle ówczesnego położenia wyobrażenia mogła stawieć złote pałace... Wszak jeszcze nie posypały się klęski kiedy to pisał; a obietnicami karmiła nas liberalna opinia zachodu.

Zkądże w młodzieńczem sercu pełnem wojennego zapału, ten melancholijny pogląd na przyszłość? z kąd ta konieczność błagalnej ofiary?

Było to jak powiadam, przeczuciowe widzenie.

Było w tem i scharakteryzowanie się młodego pokolenia, co wywołało tę walkę na nierówne siły.

Dla usprawiedliwienia błędu przeciw politycznemu rozumowi, musiała zrodzić się idea ofiary i być rozciągniętą na cały naród.

Rzecz godna zastanowienia, że myśl ta nigdzie się jeszcze tak jasno niesformułowała jak w liście Juliusza... Później wzięli ją w ręce poeci, przegrali na wszystkie tony i zamienili niemal w dogmat wiary narodowej.

Tylko duch głęboko religijny i czysty, mógł być sobie wyrobić to przekonanie, i zachować je wśród tylu kombinacji. jakich dostarczała każda niemal godzina donosząca bądź o korzyściach otrzymywanych nad nieprzyjacielem, bądź o wybuchłej gdzie rewolucyi, bądź o sympatyach głośno objawionych przez lud paryski i o tysiącznych innych pomysłnych aspektach dla sprawy, umyślnie podnoszonych dla utrzymania temperatury rewolucyjno-wojennej.

Odważnych, idących w ogień z krwią zimną, znalazłeś w każdym pułku, batalionie, kompanji... Męstwo Juliusza miało w sobie coś odrębnego od zwykłej żołnierskiej odwagi... Porównałbym je z męstwem dawnych rycerzy krzyżowych co się wyprawiali przeciw niewiernym w intencji zmazania tą ofiarą grzechów żywota.

Dla niego śmierć była tylko małą częścią tego okupu, jaki Opatrzność przeznaczyła wybierać, niewiem z wielu pokoleń, czy dla przedjednania jej gniewu, czy dla wzbudzenia litości... Z tem wyobrażeniem umysł jego zawsze był

spokojny, pogodny, wesoły... Czuć to z listów, tych serdecznych spowiedzi przed ukochaną matką, gdzie z poważnym opisem krwawej rozprawy, mięsza się dziecięca pieszczota; ze łzą urońioną nad poległym towarzyszem, żarcik dobrego humoru.

Nigdzie niezdradza próżności wywyższenia się; nie roi o żadnej nagrodzie za swoje czyny; całe jego marzenie o tem, jak kiedyś, wieczorem, przy herbatce będzie mógł ojcu opowiadać różne interesujące szczegóły o tym napadzie na stajnie dragonie... Za to, roznamiętnia się, gdy idzie o krzywdę wyrządzoną Kozakowskiemu lub towarzyszom broni, których niemógł podać do nagrody.— Niedopatrzysz w nim nawet cienia samolubstwa; wszędzie, w każdym kroku, ofiara z samego siebie.— Przyjmuje nagrody za odznaczenie się: krzyż kawalerski, dowództwo brygady — ale to go nieupaja, niewbija w zarozumiałość, — w jego pojęciu jest to tylko zaciągnięty większy obowiązek odpowiedzenia godnie tym zaszczytom, jakie na jego barki włożono. „Zaufanie naczelnego wodza, — pisze w tej myśli, — przymusza mnie, abym wszelkich sił użył by mu godnie odpowiedzieć, i aby poświęcenie się moje dla kraju na coś się przydało.“ — Zwykli ludzie usypiają na laurach; on wyniesienie swoje

w hierarchii wojskowej, uważał tylko za większą sposobność służenia sprawie narodowej; a co jeszcze godne uwagi: że wódz naczelny umiał odgadnąć usposobienie młodzieńca, gdy zastaw-
szy go w stopniu podpułkownika nieawansował go, żeby nie drasnąć miłości własnej starych wojskowych mających długie lata służby — lecz za to poznawszy serce wielkie i zdolności, dał mu dowództwo brygady. — Niemając tytułu był jenerałem de facto.

Jeszcze jeden rys tego pięknego charakteru pochwytuję w jego listach; a tym jest: skrypu-
latne przestrzeganie obowiązku, surowość dla siebie, niełagodzona żadnymi względami. — Znać w tem wychowanie głęboko religijne, które doskonałość moralną bierze za cel całego życia.

Takim przynajmniej pokazuje się w pierwszej wyprawie na Puławę. — Po bitwie, kiedy już strzelców swoich wyprawił na drugą stronę, — przysyła księżna Czartoryska żeby ją odwiedził. Juliusz waha się; ale odmówić tak dostojnej matronie, znanej mu osobiście — niepodobna. — Może też i obudziła się w duszy próżnostka żeby znany w stolicach młodzieniec, pokazał się przed kobietami w postaci bożka wojny. Poszedł więc — i wybiegło na jego powitanie kilka dam... Łatwo wyobrazić sobie z jakim

uniesieniem przyjmowano bohatera okopconego jeszcze dymem bitwy... Juliusz niewspomina o tem, tylko wyraźnie robi sobie wyrzut, że „sam, nieroztropnie“ puścił się na tę wizytę, kiedy jeszcze słyhać było tu i owdzie wystrzały.

Improwizowany żołnierz, partyzant, a jak mocne miał uczucie powinności!

O jakże niewiele było mu podobnych, jak często dla smacznej przekąski cały sztab w marszu odbiegał powierzonych sobie oddziałów, narażając albo siebie, albo swoje komendy na niespodziany napad; a zawsze na sarkania, że panowie dowódcy myślą tylko o sobie, a o żołnierza niedbają.

Juliusz miał ten punkt honoru, że nigdy nie odstępował komendy i wszystko dzielił z żołnierzem, złą i dobrą dolę.

„Widziałem go nieraz — słowa kapitana Horocha — jak w zimowej porze zbici ślotą, znużeni i głodni strzelcy Małachowskiego upadali na siłach i dalej iść nie mogli — wtedy on zasiadł z konia, męszał się w ich szeregi, a obdarzony rzadkim humorem, prawil im wesołe dykteryjki; oni się śmiali, zapominali o trudach i głodzie — i niezostawiając maroderów po drodze dochodzili w przeznaczone miejsce.“

Żyjąc tak z żołnierzem i w każdym położeniu dając mu przykład ze siebie, niedziw, że kiedy szedł naprzód, niepotrzebował oglądać się, czy za nim idą.

Był to materyał na wodza.

Tak mi narysowała się piękna ta postać w stosunku do narodu i do wojny, jaką naród z ciemieźcą swoim prowadził — a rysowałem ją po większej części temi rysami których mi dostarczył sam Juliusz, z tych swoich dorywczych wrażeń spisanych zaraz po akcyi przy ogniu biwakowym na bębnie.

Zimny to, może wymanierowany rysunek, kiedy go trzeba było układać jak mozaikę z przymiotów i darów moralnych znalezionych w okrucach. Jeżeli człowiek jednego odlewu nie znalazłby swego podobieństwa w takim portrecie — to cóż powiedzieć o tem podobieństwie jakiego szukałaby matka w wizerunku ukochanego dziecka?

Gdzież to czoło, siedlisko szlachetnej myśli, te oczy pełne męskiego ognia a nieraz tak słodko patrzące; te usta z wyrazem dobroci jakby stworzone do słów pieszczoty, układające się do wesołości lub żartu, to znów przybierające surowy rys determinacyi, siłę rozkazu? — Gdzie ten głos, który ucho matki rozeznałoby w tysiącu gło-

sów; ten krok poznawany, zdaleka zwiastun kończącej się tęsknoty i niespokojnego oczekiwania; ten gość, ten układ jemu właściwy, i to wszystko razem co się nie odfotografowało ale wyrzeźbiło w sercu matecznem?

Taki wizerunek Juliusza skonał razem z tem sercem co mu dało życie... Tam trzeba było szukać całego podobieństwa, a nie w tych okruszynach rzuconych dla świata, które wiatr przemijających zdarzeń i interesów dawno porozmiatał.

Mówiłem już o bólu publicznym, papierowym... Akcye sławy Juliusza poszły wysoko na giełdzie moralnej... ale czyż zubożonym rodzicom, stracie takiego syna wynagrodził dźwięk sławy?..

— Ofiara dla ojczyzny! — to zamykało usta, ale niezapewniało bezdennej próżni zostawionej w sercu ojca i matki. — Smutnyż to musiał być ten dwór Koniecki niegdyś tak ożywiony, tak uśmiechający się szczęściem rodzinnem, kiedy po upadku powstania, znaleźli się w nim starzy rodzice niemogący się dorachować swych synów!

Z trzech, niebyło żadnego... dwóch mogło jeszcze wrócić, trzeciego już się niespodziewano.

Niewiele upłynęło czasu, a i drugiego przestano się spodziewać...

Gustaw były minister spraw zagranicznych, mąż wysokich zdolności i bystrego umysłu umarł w Paryżu.

Henryk zostawał w głębi Rosyi.

Opinia publiczna, ile-kroć ją zafarbuje polityka, o jakże często bywa jednostronną, powierzchowną, niesprawiedliwą.

Przypominam sobie pierwsze lata po skończonej wojnie: jakie to ubóstwienie otaczało tę część narodu co się wyniosła za granicę! — Wszystkie oczy patrzyły w nią jak w gwiazdę nadziei, z której miało przyjść zbawienie. Nie dziwnego!

Spodziewano się, że drugi raz powtórzy się historia legionów choć Dąbrowskiego nie było; a co gorsza że Ludwik Filip ani myślał iść w ślady polityki podbojów Napoleona.

Było to złudzenie oka łatwe do usprawiedliwienia.

Co zaś trąciło niesprawiedliwością, to zapoznanie położenia tych, co w domu zostali... nikt ich nie żałował. — A przecież byli oni godni pożałowania po tych cichych dworach i zaściankach, gdzie się w szarą godzinę zbierały matki i siostry, jedne oplakujące mężów i synów, drugie braci. — Tęsknota za tymi co gdzieś

KSIĘGARNIA
WILHELM GAZDY
W TARNOWIE

poszli daleko, była także strawą codzienną pozostałych na rodzinnym zagonie.

A cóż powiedzieć o skutkach grozy dotykających każdego bez wyjątku, kto brał udział w powstaniu?... Kto policzył bezsenne noce, lub sny przerywane tym ciągle w uszach dzwoniącym odgłosem żandarmskiego dzwonka, który ci wróżył inkwizycję cytadeli, lub podróż przymuszoną na Sybir? Kto mógł aby na chwilę swobodnie odetchnąć w tej dusznej atmosferze szpiegostwa, fałszywych donosów, wyszukanych upokorzeń i najgrawań z szalonych zachcianek niepodległości?

Tego wszystkiego niemogli doświadczyć bracia na obcej ziemi — a chociaż w ślad za nimi poszła tęsknota za domem, za ojczyzną, tęsknota której niemogły ugasić przepychy i niespodzianki cywilizacji zachodniej, to przecież każdy tam swobodny, większą miał sposobność czem umysł rozerwać, czy że się rzucił w wir politycznych agitacji, czy z zamięłowania pracy imał się jakie powołania lub rzemiosła.

Na polskiej ziemi oddanej zemście nieprzyjaciela, była rzeczywistość straszna, ponura, podobna do nocy w której popełnia się jakie niesłychane morderstwo, i tę rzeczywistość wcale nie urojoną, opinia zdawała się ignorować, a przy-

najmniej lekceważyć, jakby już wszelkie bohaterstwo, poświęcenie się, wszystkie uczucia polskie, wyniosły się z tułaczami za granicę.

Cały interes był dla emigracyi — dla pozostałych w kraju — prawie żaden; a jeżeli od czasu do czasu indygowano się jakim gwałtem rządu dokonanym na osobie czyjej lub rodzinie, — służyło to raczej za temat do artykułów gazet szermujących z Moskwą — niż do schylenia czoła przed prawdziwym ołtarzem ofiarnym, którego miejsce było pod słomianą strzechą, a nie na bruku paryskim.

Wspaniały dworzec Koniecki mieszczący tyle tradycyi minionej wielkości, mającej żywą tradycyę w tem osieroconym starcu co jeszcze pamiętał czasy Rzeczy-pospolitej, co patrzył na cud wskrzeszenia części ojczyzny, co w synach widział rękojmię przyszłości, stał się także ołtarzem ofiarnym...

Jak dzień Boży, cichym łzom matki wtórował tam nieutulony żal ojca.

Starzec lubił poezyę; może dla ulżenia duszy wziął do rąk *Treny Kochanowskiego* oplakującego swoją Urszulę.

I gorzko się roześmiał, porównywając przedmiot swojej żaloby, z przedmiotem żalu poety...

Mylę się, nieporównywał: nieszczęście przecież bywa na cudzy ból wyrozumiałe i nie ceni go na wagę wartości osoby.

Ten stracił niemowlę, ten drobne dziewczę, ten dorosłych synów, — wszystko to jedno; dla serca ojcowskiego wielkość straty niema porównania.

Zapewne, kiedy już czas przygoił był cokolwiek rozdartą pierś rodzicielską, kiedy nawał uczuć opadając wgłęb serca, pozwoił się ująć w tęskne rymy... zapewne wtedy stary ojciec poświęcił jeden tren pamięci synów.

Oto urywek tej rzewnej poezyi zachowanej w domowym skarbcu pamiątek.

„Strętwiały przez nieszczęścia, nieznam co pociecha;
Bez nadziei! Los dla mnie już się nieuśmiecha.
Natura dla mnie martwa; nic mnie nie poruszy;
Tylko się obraz *Jego* maluje w mej duszy.
Zdaję się że go widzę, patrzę — czy zobaczę?
Łza nie skrapia mej twarzy, serce samo płacze.
Jeżeli w potocznej mowie śmiać się kto zaczyna
Radość nawet jest smutkiem, bo *Go* przypomina.
Niepierwszą to już stratę oplakiwać mamy,
Ale szczęściem do portu codzień się zbliżamy.
Już słońce nad zachodem mało dla nas świeci.
Ach smutny los rodziców przeżyć własne dzieci!

Chodź do mnie luba żono! Opuszczeni, sami,
Będziemy o nim mówić, duch jego nad nami.
Myśl go nasza dosięgnie; ta przedział przerywa;
Myślą z nim nieśmiertelne łączą nas ogniwa.
I w żalu są słodyczne; cieszyć się możemy,
Dziś jeszcze — może jutro z nim się połączemy.....

Dziś, co mówić? Okropne są tylko wspomnienia
Jeden syn w boju poległ, drugi jest wygnańcem
Trzeci w północnej strefie jest wojenym braniem.
Związki dawne — zerwane. Ojczyzny nie mamy!
I pomału do kresu życia się zbliżamy.
Pijmyż kielich goryczy, pijmy do ostatka,
Taki los wszystkich dzieci gdy skoła matka.

Opowiadano mi że w miejscu gdzie Juliusz
poległ, na wzgórku, widać było trzy krzyże nad
Kazimierzem. — Czy tę pamiątkę uszanowali
dzisiejsi krzyżobórcy? — nieumiem powiedzieć. —
To tylko wiem, że zwłoki jego zabrane z pobo-
jowiska przez mieszczan, złożono tymczasowo
przy farze, w nadziei, że trafią kiedyś do rodzin-
nych grobów.

W czas jakiś zdarzyła się sposobność prze-
wiezienia tych zwłok do Końskich; była w tem
czuła i pobożna intencja rodziny i przyjaciół.

Czy kiedy przyjdzie kolej na publiczne u-
czczenie pamięci rycerskiego młodzieńca? czy na-

ród będzie chciał przyponnić sobie i zrozumieć
tę szlachetną i piękną postać?

Jest to zagadka na którą niepodobna dziś
odpowiedzieć; wiąże się ona z tajemniczym lo-
sem ojczyzny.







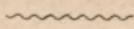
Juliusz Farnowski.
† 1863.

Drukował A. Wetteroth, w Monachium.

JULIUSZ TARNOWSKI.



JULIUSZ TARNOWSKI.



Na prawym brzegu Wisły, w wązkim pasie, leżącym między tą rzeką, a ogromnemi szczątkami niewyrąbanych jeszcze lasów tak zwanej puszczy sandomierskiej, spotkasz kilka malowniczych miejsc, kilka zamków i starych ceglanych kościołów, które ci mówią, że historia i cywilizacya wcześniej przesunęła się tym rąbkiem, niż na całej tej płaskiej przestrzeni co do najniższego pasma wzgórzów podkarpaccich przypiera.

Przestrzeń ta piaszczysta i błotnista do dziś nosi charakter okolicy leśnej, ... kiedy samo porzecze ustroiło się w zdobycze cywilizacyi.

Inny tu świat.

A chociaż dopiero z książek dowiaduję się, jakie tu skupiało się życie, kiedy w jednej z nadwiślańskich wiosek przemieszkiwał Zygmunt stary z królową Boną; kiedy Baranów

licha miejscina, miał swoją drukarnią, a Miecho-
cin, wioska na piaskach osiadła, także szczyciła
się drukarnią, — to zawsze jeden rzut oka na
miejscowość, uprzedza cię o niej korzystnie.

W okolicy tej skąpej w widoki, najbardziej
powabnem jest położenie zamku Dzikowskiego
przypierającego tuż do miasteczka Tarnobrzega,
które lubo nosi tę urzędową nazwę, przecież
od okolicznych mieszkańców niebyswa inaczej
nazywane jak Dzikowem. Całą ozdobę miejsca
stanowią stare drzewa i wzgórza, będące niegdyś
brzegami płukanemi przez Wisłę, zanim ta ka-
przyśnica zmieniła swoje koryto.

Na takim wzgórzu, dość stromem z jed-
nej strony stoi zamek, skąd otwiera się wspa-
niały widok na przeciwny brzeg Wisły, obejmu-
jący w jednym rzucie oka Koprzewnicę i białe
mury Sandomierza.

Wspomnień historycznych tu nie brak.

Sam Dzików, może się także niemi pochlu-
bić, będąc od kilku wieków ciągle w posiadaniu
rodziny Tarnowskich. Ten jeden tytuł jużby
wystarczał, gdyby znaczenia miejsca niepodnosił
cudami słynący obraz N. Panny, który z kaplicy
zamkowej przeniósł się do bliskiego kościoła
XX. Dominikanów fundowanego przez Tarnow-
skich: gdyby w zamku tym nie zawiązała się

była wprawdzie mało głośna, lecz nie bez znaczenia konfederacya za Leszczyńskim po śmierci Augusta II; gdyby nareszcie wstrząśnienia listopadowego wybuchu niebyły tu ściągnęły hrabiego Jana, senatora i kasztelana królestwa polskiego, wielkiego miłośnika nauk i sztuk pięknych, który wyrestaurował dawne zamczysko, założył ogrody, sprowadził z wołyńskich dóbr swoich bibliotekę i galerie obrazów. A tak z osiedleniem się tu światłego obywatela pogranicze to odcięte dla braku dróg komunikacyjnych od ognisk umysłowego ruchu, znalazło swój punkt środkowy, stało się ogniskiem myśli wyższych, duszą ziemiańskiego żywota.

Z tem wszystkiem życie dzikowskiego dworu mniej było rozrzucone na zewnątrz, a więcej skupiało się w kole rodzinnem. Smutek z upadku ostatnich wysiłen narodowych podsycany posępną przyszłością niewróżącą nic lepszego nad to co zostało straconem, zagniezdziwszy się w duszach, zobojętnił je do pewnego stopnia na stosunki światowe. Przyjmowano wprawdzie gości i utrzymowano zażyłość sąsiedzka, ale w zamku najczęściej panowała cisza dogadzająca usposobieniu gospodarza lubiącego naukową pracę, niemniej zajęciom pani domu, która także lubiła zajmować się czytaniem, a jeszcze więcej cieszyć się

obecnością bliższych i dalszych członków rodziny którzy ją też chętnie otaczali.

Tym sposobem utworzyło się domowe kółko mogące samo sobie wystarczyć; a kto się chciał przy tem patryarchalnem życiu ogrzać, staropolska gościnność zawsze otwierała mu wrota.

Dziesięć lat upływało od czasu smutnych wydarzeń opowiedzianych wyżej. — Podobnie jak niegdyś we dworze Konieckim, cieszone się teraz w Dzikowie szczęściem domowem, spokojem i wszelkimi powabami wiejskiej, cichej egzystencji.

Grono rodzinne zamieszkujące zamek Dzikowski składało się oprócz wspomnionych już kasztelaństwa Tarnowskich z najstarszego ich syna Jana, ożenionego z Gabryelą Małachowską siostrą poległego pod Kaźmierzem Juliusza i z ich dziatwy, której widok rozjaśniał czoła dwojga poważnych starców.

Do dwóch dziewcząt i dwóch chłopcow przybyło najmłodsze wnucze.

Matka nowonarodzonego chcąc może odświeżyć w synu pamięć brata, którego bardzo kochała, bądź też wiedzioną jakimś nieodgadnionem przecuciem, życzyła sobie żeby na Chrzcie św. dano mu imię Juliusza.

Był to jakby horoskop, nie z gwiazd wyczytany przez astrologa, lecz odgadnięty jasnowidzeniem matki.

Juliusz Tarnowski przyszedł na świat w Dziukowie, dnia 26 grudnia 1840 r.

Na pierwsze lata ślicznego wesołego chłopięcia, patrzyło oko dziadowskie, zanim zamknęło się na zawsze; dłużej patrzyła babka, lecz i ona poszła za mężem; najdłużej ojciec, ale i ten grono swych dzieciek zostawił w tej pierwszej porze życia, co jeszcze nierozstrzyga o postanowieniu.

Jan Bogdan Tarnowski zgaśł w sile wieku z niezmiernym a szczerym żalem tak całego obywatelstwa, jak domowników i poddanych.— Miał on szczęście być kochanym od ludzi; jeżeli szczęściem nazwać można wartość osobistą, owe przymioty charakteru na których ślepo polegasz, owe złote serce wylane dla drugich, ową wreszcie woń dobrego wychowania dającą się pogodzić z najwyższą prostotą. — Wielka zacność i ta ujmująca prostota były u niego talizmanem oczarowującym ludzi, że go musieli kochać. — Najwspanialsza to spuścizna jaką zostawił dzieciom po sobie.

Wdowa ujrzała się na czele majątku z całym brzemieniem odpowiedzialności za dalsze

wychowanie i poprowadzenie trzech synów i dwóch córek, których była najgłówniejszą opiekunką.

W podobnem położeniu znalazło się i znajduje wiele matek — atoli nie wszyskiem bywa dane wywiązać się tak z obowiązku i odpowiedzialności moralnej, jak z niej wywiązała się pani Gabryela Tarnowska.

Dzikowski zamek pod jej macierzyńską władzą tak słodką, tak wyrozumiałą dla młodych, coraz więcej ożywiał się dorastającym pokoleniem patrzącym tylko w słoneczną stronę życia.

Zewnętrzne oznaki żałoby powoli usuwały się z przed oczów, żeby wewnętrzny ból tem silniej zbierał się w jej sercu, które do końca życia nieumiało przeboleć poniesionej straty.

Smutki zazdrośnie zatrzymawszy dla siebie, pragnęła oddalać je od dzieci; — dla zachowania jednak równowagi, obok wielkiej swobody i wesołości właściwej krwi młodej, panowała tam pewna karność nieprzekraczająca nigdy winnej czci matce, uszanowania dla starszych i delikatności we wzajemnych stosunkach.

Było w tej atmosferze domowej tyle ciepła, tyle serdeczności, tyle harmonii, że i obcy człowiek czuł się lepiej kiedy nią oddychał; a raz poznawszy się z mieszkańcami dzikowskiego zam-

ku, zaciągał dług wdzięczności, podobny w tem do strudzonego drogą wędrowca, co do końca życia słodko wspomina drzewo, pod którem wypoczął i źródło które mu było ochłodą.

Za przedmiot niniejszej opowieści obrałem najmłodszego z rodzeństwa Juliusza.

Trudno mi iść za nim od dzieciństwa i za-
trzymywać się na tej kolei, którą przebywa
mniej więcej każdy młody chłopiec. — Tego ro-
dzaju szczegóły, prócz wartości wspomnienia dla
osób najbliższych, niemiałby ogólniejszego zaję-
cia dla czytelnika niemogącego się zaintereso-
wać tem, co jest w zwykłym rzeczy porządku.

Dta tego o pierwszej młodości Julka nie-
mam co więcej powiedzieć, tylko, że był pie-
szczonem dzieckiem matki, sióstr i braci — pie-
szczonem ale nie psutem; prawdziwa miłość
niebywa słabością, a tylko słabość psuje ofiary
wybrane na pastwę zaślepionej miłości.

Julek kazał się kochać, i w tym punkcie
był mimowiednym despotą. — Kochali go też
zarówno starzy i młodzi, ale szczególniej pierwsi,
odpłacając mu zapewne jego dla nich niezmien-
ną uprzejmość i względy. — Dziecinna może
chęć naśladowania osób starszych, wczesnie prze-
szła u niego w instyktowy pociąg do towa-
rzystwa osób w dojrzałym wieku, a nietylko że

sam w niem smakował, ale też miał dziwny dar zjednania sobie przyjaźni u znacznie wiekiem dojrzałych kolegów, jak niemniej zyskania sympatyj i łask u osób, od których go często wiele lat dzieliło.

Gdy mu się zdarzyło czasem z kimś poważnym i wiekowem dłużej rozmawiać, dodawał potem żartobliwie, robiąc alluzję do swojej mniemanej dojrzałości: „dwóch staruszków nagadało się o dawnych czasach do woli.“

Żywy, dowcipny, niewyczerpany w konceptach, choć jeszcze był chłopięciem, ożywiał całe towarzystwo. — Bez niego Dzików stawał się smutny; Julka niebyło, niebyło prawdziwej zabawy. — Wszystko co robił, świadczyło o jego zręczności; — na koniu siedział, jakby przyrósł do niego; strzelał celnie, tańczył z gracyą i niezmordowanie; — ale obok tych, łatwo było odkryć w nim cenniejsze zalety umysłu i serca. — Niezwykłego wdzięku było to połączenie w nim pustoty dziecinnej z bystrością pojęcia, trafnością sądu, z siłą i wytrwałością w postanowieniu, z tą wreszcie delikatnością w obejściu co mu odrazu zjednywała serca.

Z tem wszystkiem niebył to jednak łatwy do prowadzenia charakter; — tem trudniejszy, że już od młodszych lat nosił cechę pewnego wy-

robienia się. — Z wiekiem tylko wykształcał się, uczyniał; jednak znamion swoich pierwotnych nie-tracił. — Rozkaz lub przymus, mógł go ugiąć lecz niezlamać; ale jeśli hart wrodzonej jego męzkości niełatwo poddawał się władzy zbrojnej tylko zwierzchniczą powagą, to znówu miękł jak wosk w promieniach czułego spojrzenia matki. — Jej czułość i niezrównana dobroć, zastępowała mu ojcowską opiekę; a z tą naturą żywą i bystrą, przenikliwą i śmiałą, niepoddającą się łatwo niczemu, a skora do buntu przeciw wszystkiemu co mu się nieloicznym lub niesłusznem wydało, z tą naturą, co niejednemu wytrawnemu pedagogowi klina zabić mogła — czułość macierzyńska najwyborniej radzić sobie umiała. — Ale też czułość taka mądrzejszą bywa niż wszystkich pedagogów wyrozumowane teorye, dla tej prostej przyczyny, że ma na zawołanie środki których prócz niej nikt użyć niemoże. — Z ich pomocą radzi sobie w najtrudniejszych razach; każe się słuchać najbardziej rozbującej młodości; a widok jej łzy, lub tylko sama jej obawa, ma tę cudowną władzę że uśmierza, jak oliwa wy-lana na wzburzoną falę, wybuchy najburzliw-szego nawet temperamentu.

Takich tajemnic pomiędzy sercem matki a sercem syna — między czułością jednej, a u-

ległością drugiego, trudno wyrozumować; chociaż pojąć je można czytając listy tej niezrównanej matki do ukochanego Julka.

Po jej zgonie on sam zebrał je starannie do najdrobniejszej karteczki, kazał oprawić i chował jak drogą spuściznę, co z za grobu jeszcze tak rzewnie przemawiała do niego.

W wierzeniach prostego ludu, nieboszczka matka schodzi co nocy do sierot zostawionych na świecie, czesze je, przybiera w białą bieliznę, pieści się z niemi, rozmawia i pociesza, znikając z pierwszym dnia brzaskiem. — Lud najlepiej pojął i zobrazował tę miłość macierzyńską, która niekończy się w grobie, lecz trawiona wieczną tęsknotą, często powołuje do siebie pozostałe sieroty.

Te listy tak wymownie czułe, zebrane jak relikwie przez syna, odczytywane w chwilach tęsknoty, w chwilach stanowczych życia, były jakby niewidomemi włóknami które łączyły te dwie rozdzielone dusze.

Ale to też na każdej niemal karcie przebija w nich ten tajemniczy ton co się słuchać każe; wszędzie rady mądre i głębokie; nauki trafne a proste; — miejscami zaś — zapewne w ważniejszych chwilach życia, takie prośby i błagania, takie zaklęcia idące wprost do serca a zmu-

szające koniecznie być dobrym dla miłości Boga i dla miłości matki—że trzeba było bezwarunkowo usłuchać tego głosu, w tem tylko może od jego intencji odstępując, że pierwszym powodem uległości nie groźba obrazy Boga, ale była nim obawa zasmucenia matki.

Niemam listowych spowiedzi Juliusza z którychbym czytać mógł w głębi jego duszy; zastępują je listy matki; — jest to zwierciadło odbijające go najwięcej, a zarazem jest to, jakby ideał w głowie mistrza podług którego wykłada swój posąg.

Korespondencya ta nieodnosi się do młodszych lat Juliusza, kiedy był na naukach w Krakowie i miał nad sobą dozór a przytem sposobność częstszego znoszenia się z matką,—wszystkie listy datują z tych lat, gdy zostawiony sam sobie przebywał za granicą.

Po wyjeździe z domu na długi czas, taki go list z pożegnaniem dogonił:

„Jeszcze w kilku słowach pożegnaj cię
„mój Julku, aby moje wrażenia po twoim wy-
„jeździe, doszły cię jak gdyby ciepłe jeszcze.—
„Straciwszy z oczu bryczkę która cię odemnie
„uniosła, wyszłam patrzeć na drzewa, na miej-
„sca, które nieprędko zobaczysz mój Julku ko-
„chany.— Żal mi się ciebie zrobiło, bo jeszcze

„jesieni parę, jeszcze wiosen parę, a skończy się różana twoja młodość. — Niezatrzej niczem „dziecko moje jej nieskazitelności; przechowaj „nietknięty skarb uczuć swoich dla towarzyszki „życia, która ci się odplaci świętą miłością, służącą za podstawę świętobliwym pokoleniom.“

To nie sentymentalna romansowość, lecz najprawdziwsza macierzyńska miłość. — Niejedna kochająca matka czytając te wyrazy, pomyśli: ja czułam to samo kiedy mój syn wyjeżdżał z domu, tylko nieumiałam tego tak dobrze powiedzieć.

Można sobie wyobrazić co się działo w tem sercu matczynem, kiedy dowiedziała się po wielu miesiącach, że Julek kąpiąc się w Wiśle, tonął. — On wtedy był za granicą i już pewnie zapomniał o tym przypadku, który słowa jej tak podniosły, że go lekceważyć niemógł.

„Obchodzimy dziś dzień zaduszny! Jeżeli „ciebie Julku mój w żałobny poczet niepoliczylam, miłosierdzie w tem Boga nad nieprzygotowaną do nagłej śmierci duszą twoją i nad sercem matki. — Z przypadkowego opowiadania „dowiedziałam się żeś tonął w tym roku w Wiśle, że cię poświęcenie się i przytomność kolegi „z wody już zanurzonego wydobyły. — Przepląkałam w skrytości samo wyobrażenie nieszczę-

„ścia jakie nademną, nad tobą, nad całą naszą rodziną, na włosku wisiało. — Julku mój! „w cóżby się życie moje było obróciło, gdyby „mi jednego z was było w niem zabrakło, gdyby „bym nad jednym do śmierci płakała, — w cóżby „by się i rezygnacya moja obróciła, gdybym „miała chwilę powątpiewania o twoim losie „w wieczności...

„...Nienamawiam cię na żadne votum, uważając wszystkie za niebezpieczne; ale znajduję „że powinienes zachować pamięć miłosierdzia „Boskiego, utrzymując ją jakim dobrym czynem „powtarzanym jeżeli nie co miesiąc, to przynajmniej w każdą rocznicę niebezpieczeństwa w jakim się znalazłeś. — Synu mój drogi! odzyskany skarbie! Niezapominaj nigdy że ocalony „od śmierci powinien żyć ciągle tak, aby był „pewien życia wiecznego.“

Ta myśl, że mogła stracić ukochanego syna, często wracała i dręczyła ją. — W jednym z późniejszych listów tak jeszcze mówi o tym przypadku:

„...Nieomieszkaj wypłacić się z długu wdzięczności, aby cię później w jakim niebezpieczeństwie opieka Matki Boskiej niezawiodła „moje kochane dziecko. — Jej miłosierdziu dzień „i noc polecam całą twoją przyszłość i rzeczne

„*kąpiele*, które o mało że niepochląnęły jednego „z największych skarbów mego życia.“

Z tego łatwo już domysleć się ile na tem rozłączeniu się od drogiego dziecka — a rozłączenie to, im dalej Julek szedł w lata, stawało się częstszem i dłuższem — nienacierpiała się i nie-
natęskniła jej dusza, wszakże nie samolubną tęsknotą. — Miłość jej ustępowała w cień ilekroć on miał do spełnienia jaki obowiązek, a poprze-
stając na tem że go spełniał, swoją rozkosz znajdowała w żywszych i ujmujących dowodach przywiązania jakich jej syn, czy zdaleka czy
zbliska nie szczędził. „Uprowadziłeś w czułości „twoją matkę — pisze doń w jednym z swych
„listów — i to wiele powiedzieć. — Gdyby nie „liczne otoczenie, byłabym pocałowała pismo
„twoje, mój drogi synu. — Widziałam w niem „jakby cząstkę ciebie samego, jakby fotogra-
„fią twego serca. — Cała moja w nim nadzieja,
„więcej jak nadzieja, bo bezpieczeństwo o to,
„co najważniejsze i najlepsze w jestestwie two-
„jem: dusza twoja, dusza, która mi zostawiła na
„pociechę te słowa: *ja do ciebie wrócę takim ja-
„kim mnie mieć chcesz*. — Bóg ci zapłaci nieusta-
„jącem błogosławieństwem; bo nieustannie brzmią
„mi w uszach, w sercu mojem; jak obietnica
„szczęścia twego z samego nieba pochodząca.“

Myśl matki, kiedy Julek przebywał na naukach czy w Wiedniu czy w Hohenheimie, oddzielony od starszych braci, ciągle za nim była, przenosząc się wyobraźnią w skromne jego studenckie mieszkanie, dzieląc jego niewygody i trudy, często posyłając jaką przestrogę lub perswazyę, miarkującą porywy młodzieńczej nieogłędności lub żywości. — Nie są to suche morały niecierpliwiące młodych — bynajmniej; — moralista stawia się zwykle na rusztowaniu zbudowanym z wieku, powagi, doświadczenia, władzy — z tąd suchy morał często nieosięga skutku. W stosunku z Julkiem innej metody trzymało się serce tej niezwykłej matki: otwierało się całe, do dna, jak przed przyjacielem, rówieśnikiem, i wszystkie świętości i wonie swoje przelewało w duszę tego młodziutkiego powiernika. — Nie było w tem żadnego gwałtu, nacisku; była jakby dobrowolna zamiana.

Pełno w tych listach takich ustępów. Przytoczę jeszcze niektóre, aby z nich czytelnik mógł sądzić o tem mistrzostwie w doskonaleniu młodej duszy. I tak:

„Spieszę z odpisem na twój list skoro mi „zapowiadasz powrót swój. — Cieszyłbym się „powinna i w istocie raduję się nadzieją odzyskania cię prędzej mój Julku drogi, a niejestem

„wszakże bez obawy czy wiedziony naturalną
„niecierpliwością, nieurwiesz choć kilka dni od
„przeznaczonego na naukę terminu. — Moje dzie-
„cko kochane! zakończ porządnie nauki; — właś-
„nie dla tego że nikt nad tobą nieczuwa, ty
„czuwaj w dwójnosób nad sobą i nad rodziną
„sławą. — Dziś nadzieje kraju na młodej gene-
„racyi, tej, co się boi Boga i upadku przed nim
„i przed światem. — Niech cię ta bojaźń święta
„i szlachetna wstrzymuje jak dotąd, od cienia
„złego, a stanie się że wieczór życia i wieczność
„cała będą nagrodą przykładnie spędzonej mło-
„dości.“

Z jaką to czułością i namaszczeniem podsuwa
mu jak ma przepędzić święta Bożego narode-
nia: „Gdzie będziesz na święta mój Julku! te
„święta, które światu Zbawiciela dały, a mnie
„syna (rocznica jego urodzenia) co czułością i do-
„brem postępowaniem, koł nieraz cierpienia du-
„szy. — Gdzie będziesz biedny, oderwany od
„wszystkich którzy mnie w tych dniach radości
„otoczą serdecznym kołem? Ale szczególnie
„któż ci powie w dwudziestą rocznicę urodzin
„twoich, że ci matka dziękuje i błogosławi za
„wszystko, coś kiedykolwiek dla Boga zrobił
„i poświęcił, a przez to do mojej spokojności
„i pociechy się przyczynił. — Wznies oczy ku

„niebu, ku Ojcu jakiego tam i wszedzie mamy
„a on ci zastąpi tych, których niebędziesz wi-
„dział i czuł koło siebie.“

W późniejszej dacie liście pisze o świętach
spędzonych bez Julka:

„Już się tedy przesunęły pierwsze święta
„Bożego narodzenia.— Ale co mi to za święta!
„co mi to za 26 grudnia bez mego Jula.— Czy
„nam ciebie brak? Łatwo serce twoje na to od-
„powie.— Czy nam ciebie żal? pojmujesz tak-
„że, niewidząc koło siebie nikogo,— nikogo
„z tych, co ci szczęścia życzyli i dla których
„szczęście twoje koniecznością... Na wilię miejsce
„twoje próżnem zostało; zapełniała je ciągle
„myśl moja“

Julek donosił że w Sztuttgardzie przepędził
święta przy łóżku kolegi chorego na rękę, —
choroba ta obudziła podejrzenia matki.

„A ów chory na rękę kolega, czy wyzdro-
„wiał? Złośliwa czy domyslna fama głosi, że
„w pojedynku zranionym został. — Mój Julku
„kochany! znam ostrość praw honoru i poj-
„muję że człowiek szanujący siebie, od nich
„usunąć się raz wplątany, nie może. — Ale
„przed wszystkimi prawami ludzkimi są prawa
„Boskie od których żaden żyjący człowiek wy-
„łamać się niemoże bez narażenia swego zbawienia,

„lub kary kościelnej klątwy, a taka jest dla prawnego katolika odbiciem się woli samego Boga.—
„Jeżeli sam udział w podobnych zajściach jest
„tak zabroniony; cóż dopiero mówić o dokonanym czynie zamierzenia się na życie bliźniego
„z narażeniem własnego.

„Mój Julku kochany, jeden sposób uniknięcia gorszących awantur, jest oddalenie się od osób które je wywołują. — Jeżeli tacy znajduję się pomiędzy kolegami twoimi, lepiej porzuć nauki bez których obejść się możesz, a wróć nietknięty ani na sławie, ani co ważniejsza, nieobciążony na sumieniu przestępstwem przykazań Boskich. — Te wszystkie uwagi mają naturalnie o tyle tylko waloru, o ile przypuszczenie pojedynku w zgromadzeniu waszem sprawiedliwe.“

Juliusz obdarzony delikatnym uczuciem, zawsze miał tę obawę żeby niczem niezasmucać matki, dla tego w listach swoich z lekka prześlizgiwał się gdy mu przeszło mówić o niewygodach i przykrościach czasu swego pobytu w Hohenheim; wszakże tęsknota trapiąca go za domem i rodziną, mimowolnie zdradzała się w jakimś niesmaku, co zaraz serce matki odgadło.

W jednym z ostatnich swoich listów tak napędzała go do dawnej wesołości humoru:

„Szkoda mój Julku że na takiego wycho-
„dzisz tetryka, ty, którego wesołość chmurne
„rozjaśniała czoła. — Cóż po wiosnie, co po
„młodości, gdyby w niej niebyło widać kwia-
„tów? Prawda że świat niezabawny; że ledwo
„w nim uśmiech przystoi wobec tylu na wszyst-
„kie strony nieszczęść i niegodziwości; — ale
„mimo to, zdaje mi się, że dla twego wieku i
„położenia rozrywka i obcowanie z ludźmi ma-
„jącymi jakieś znaczenie, są niemal koniecznoś-
„cią. — Jako polakowi zganiałabym taniec nawet
„za granicą; ale bywanie w towarzystwach zda-
„wałoby mi się korzystnem w jakimbądź kraju. —
„Niemcy, u którychbyś bywał, niesą tymi przed
„którymi cofają się serca nasze, a zawsze zy-
„skałbyś na dokładniejszym poznaniu ludzi.“

Jeszcze jeden rys chciałbym dodać malu-
jący ten wizerunek matki w skończonej dosko-
nałości. — Do najtrudniejszych położeń w jakich
się znajdować mogą rodzice, należą sprawy ser-
cowe ich dzieci; gdyż najczęściej w podobnych
razach obierają one drogę dyplomatyczną, — to
jest, że rodzice o niczem niewiedzą, chyba kto
z boku coś natrąci; lub oni sami, jeżeli są ba-
czni na pewne zmiany humoru lub fizyonomii,
zaczynają się czegoś domyslać.

Jeżeli traf zdarzy że wszystkie okoliczności i warunki są odpowiednie, natenczas zwierzenie się ojcu lub matce bywa ze strony syna lub córki, krokiem niewymagającym wielkiego wysilenia. — Lecz jeżeli zachodzą jakiegokolwiek trudności zdarzające się często w życiu a jeszcze częściej w romansach — a do tego przeszkodami tłumione uczucie, zbiera się w głębi, niby materiały palne wulkanu, wtedy cały ten proces odbywa się przy drzwiach zamkniętych; tajemnica strzeże serdecznych świętości.

Z niektórych ustępów tej korespondencji wnosić można że 18 letnie serce Juliusza nieustrzegło się uczucia co tak łatwo budzi się w tym wieku i że uległo potędze pięknych oczu, które tem łatwiej zwycięztwo odnoszą, im z świeższą wyobraźnią mają do czynienia.

Zdawałoby się że Juliusz pozwalał osobom najbliższym w rodzinie, domyślać się czegoś, a zupełnie niewywnętrzał się przed nikim. Matka przywykła do czytania w duszy swojego Julka, tyle tylko domyśliwała się, że skłonność musi być dosyć mocna, skoro ją powleka pewna tajemniczość. — Niewdzierała się w te skrytości ani też stawiała przeszkód, wiedząc dobrze że takie pierwociny uczucia zjawiające się w postaci meteoru lub błędnego ognika, gasną same przez

się, kiedy stały, trawiący wszystko płomień, rodzi się najczęściej z tarcia przeciwności. — Co tam zaszło w duszy młodzieńca, czy ochłódł po kilku latach, czy może chciał i niemógł jeszcze zapomnieć? Niewchodzę w to; mniemam jednak że obawiał się odświeżenia wspomnień, kiedy z osamotnienia w Hohenheimie, pomimo ustawnej tęsknoty za matką i rodzeństwem, nietylko zwłóczył swój powrót, lecz owszem wyrywał się do Paryża.

W delikatną tę sprawę miesza się głos matki:

„Z ostatniego listu twego dorozumiewam „się w części powodów dla których zamysłasz „zrobić wycieczkę do Paryża.— Trzeba jednak „żeby powód usprawiedliwiający poświęcenie „wzajemnej naszej przyjemności był bardzo „ważny; inaczej twoje serce na to by się nie „zdobyło. — Ale Julku mój kochany, czy sam „sobie obaw swoich nie przesadzasz?....

„.....gdybyś jednak istotnie obawiał się „odnowienia przygasłych wrażeń, powiedz mi „dziecko moje szczerą prawdę; niepowątpiewaj „o mojej wyrozumiałości. Ja w twoje położenie „wejdę, wezmę je na seryo i podam ci ku oswobodzeniu tę rękę, którą cię wkrótce spodziewałam się do serca przytulić. — Tylko bądź

„zemną szczerą, już niepowiem jak z poważną
„matką, ale jak z najlepszą przyjaciółką jaką
„masz w życiu.

„Jeżeli po rozważeniu tego wszystkiego
„znajdziesz, że spotkanie nienarazi cię na nie-
„bezpieczeństwo, wracaj do nas. — Paryż stoi i
„stać będzie na wieki, a przedemną. przed na-
„mi, życie uchodzi, a w niem chwile krótkie,
„których niemożemy mieć nigdy dość.“

Jaki takt, — jaka czułość, — jaka pewność
wygranej ze strony matki! — Każdy jej argu-
ment przekonywający bez najmniejszego nacis-
ku i odwoływania się na rodzicielską powagę;
jego samego zostawia sędzią w tej zawikłanej
sprawie. — Położenie zrobiło ją tak wymowną. —
Julek w świat się wyrывa — daleko, daleko — a
serce matki licząc na godziny chwilę jego po-
wrotu, czuje się osierocone, nawet jakieś zło-
wrogie ogarnia ją przeczucie gdy pisze:

„Paryż stoi i stać będzie wieki, a przede-
„mną, przed nami, życie uchodzi, a w niem chwile
„krótkie których niemożemy mieć nigdy dosyć.“

Prieczucia te niemyliły: — i dla niej i dla
niego niewiele już chwil zostawało na ziemi!

Jeżeli te z listów ustępy rzuciły niejake
światło na serce i umysł matki, a w odbiciu
się pozwoliły zajrzeć w duszę Juliusza rozwija-

jącą się w ciepłych i jasnych promieniach tego opiekuńczego ducha, — to przecież są one jeszcze zbyt skąpe i niedostateczne.

Trzebaby przytoczyć całe listy pełne szczegółów obchodzących rodzinę i przyjacielskie stosunki, aby z nich wystąpiły owe delikatne półcienia, któreby tem wierniej, tem piękniej, wy-modelowały dwie te postacie. — Przekroczyłoby to jednak granicę prywatnego życia, nie lubiącą najazdu ciekawości publicznej, jak każdy przybytek ukrywający domowe świętości.

Jednego wszakże dokumentu niemogę pominąć milczeniem.

Starzy nasi ojcowie wyprawiając synów na naukę, czy to do akademii krakowskiej, czy do jakiej zagranicznej, mieli zwyczaj z błogosławieństwem pożegnania dawać odjeżdżającym spisane przestrogi i punkta od jakich niewolno im było pod klątwą ojcowskiego gniewu odstępować. Piękną tę tradycję godną naśladowania, rzadko już dziś obserwują rodzice, — czy że niechęcią na piśmie kompromitować swej powagi, czy że sami niemając stałych zasad i przekonań, nieśmiało wymagać po dzieciach żeby je miały.

Dokument o którym mówię, dostatecznieby świadczył, że matka która go napisała dla odjeżdżającego za granicę syna, czuła się w pełni

swjej powagi, aby w niego wszczepić zasady stanowiące treść i godność życia.

Muszę sobie zadać gwałt żeby się wstrzymać od przytoczenia tutaj tego aktu macierzyńskiej mądrości, ale nasuwa mi się pytanie, czy się godzi puszczać w świat i odsłaniać przed okiem obojętnych, a może i na krytkę wystawić te słowa, w których matka z całą surową powagą swego świętego charakteru, przemawia już wprost do sumienia swego syna i podaje mu prawidła których raz na zawsze trzymać mu się każe. — Ta, która pisała, a bardziej jeszcze ten dla którego były pisane, uważaliby zapewne ogłoszenie tych słów za profanacyę; bojąc się więc wykroczyć przeciw uczuciu z jakim były skreślone i czytane, nieodważę się ich powtórzyć. Są tam nietyle rady i przestrogi, jak kategoryczne żądania przypisujące synowi co ma robić żeby zachować zawsze wiarę i łaskę Boga, szacunek własny i dobrą sławę u ludzi.

Może kto widząc jak ta matka zaleca synowi takie praktyki religijne jak post lub spowiedź, jak go przestrzega przed „marnowaniem czasu na czytanie baśni“ — jak każe ze studenckich dochodów co miesiąc odłożyć pewną kwotę dla ubogich, lub w razach potrzeby udawać się do siebie o pieniądze, — „a długów niezaciągać

dla żadnej przyczyny“ — mógłby kto łatwo upatrzeć w tem troskliwość zbyteczną, posuniętą aż do kontroli każdego kroku, a nieledwie każdej myśli syna. — To pewna, że gdyby dokument ten wpadł był w moje ręce bez wskazania w jakim czasie, dla kogo i przez kogo był pisany, odniósłbym niezawodnie datę jego do siedemnastego wieku i domniemywałbym się że go pisała jedna z tych świątobliwych i wielkiego umysłu matron, jak Regina Żółkiewska, lub Teofila Sobieska.

Ale czemuż — rzeknie może niejeden, niema tam nic o miłości ojczyzny, o poświęceniu się dla niej i t. p.?

Dla czego? odpowiedź łatwa; bo w przekonaniu takiej matki, miłość ojczyzny była koniecznem następstwem gruntownej miłości Boga, bo uczucia te patryotyzmu i poświęcenia się były stanem naturalnym jej dzieci; atmosferą w której się wychowały. — Niepotrzebowała więc przypominać tych powinności, które w danym razie musiały się znaleźć jako żyjąca tradycya. Tam tylko, gdzie jej niema, patryotyczna frazeologia bywa na porządku dziennym.

Lubo tu może nie miejsze zajmować się tak długo matką, kiedy rzecz wyłącznie tyczy się syna, to przecież dwóch tych istot zrosłych

ze sobą, niepodobna mi było rozdzielić;—raz, że chciałem pokazać pod jakim wpływem wyrabiał się Juliusz, a potem, że mi to dało sposobność choć skromną wzmianką uczcić pamięć tej matki obywatelki stojącej pośrodku między dwoma Juliuszami, z których jednemu była siostrą, drugiemu matką... Był wprawdzie moment stósowny rzucić na świeży jej grób tych kilka kwiatów jakie się zwykle rzucają w nekrologach dzienników.

Wstrzymałem się od tego zbyt zużytego hołdu, który mi się wydawał profanacją... Jak są istoty wyjątkowe niedające się chwalić zwykłym sposobem, tak i żałować ogólnikami. — Szafunek łez drukowanych któremi posypują się groby stworzeń znikających pod ziemią... było to za mało dla niej.

Pod tego rodzaju równo uprawnienie niegodziło się podciągać matki Juliusza. — Jaż trzeba było widzieć taką, jaką była w zamku dzikowskim, otoczoną dziećmi, oddychającą niemi, szczęśliwą ich szczęściem, smutną ich smutkiem, ożywiająca się ich wesołością i żartami, dzielącą z niemi ich zabawy, poważną głębokością uczucia, mądrą światłem wiary, prostą, przystępną; dobroczynność posuwającą dalej niż idzie jałmużna, bo niedość że ręka jej zawsze była otwartą na głos

nędzy lub cierpienia, ale w swych modlitwach gorących wiarą, nieprzepomniła nikogo o kim dowiedziała się że chory, lub upadły na duchu lub zgnębiony jakim nieszczęściem.

Zapewne Bogu tylko wiadomo ile razy prośba tej czystej wierzącej duszy odwróciła ją — kłękę prywatną lub publiczną. — Ci przynajmniej co ją bliżej znali, polecali się nieraz jej modlitwom pełni ufności, że z tego czystego serca tem przyjemniejsza woń modlitwy wzbija się do nieba.

Była to natura zupełnie niepodobna do tych pretensjonalnych doskonałości, co chcą za takie uchodzić przed światem. — Jej doskonałość mieściła się w dziwnie harmonijnem połączeniu serca z umysłem bystrym, wykształconym, przyjemnym i łatwym w stosunkach towarzyskich. — Surowa dla siebie a wyrozumiała dla drugih, nie skutkiem obojętności, lecz prawdziwej miłości bliźniego, podbijała dobrocią; — panowała też w jej obecności najzupełniejsza swoboda. — Młodzi bawili się, pustowali, dowcipkowali; gdy ona nieraz trafnie rzuconem słówkiem podniecała werwę — jak znowu gdy ta przekraczała granicę właściwą, jednym słowem lub wymowniejszym spojrzeniem umiała powściągnąć. — Dziwnie łączyła się w niej godność poważnej matro-

ny z dobrocią i łatwością młodych lat rówieńczyki. — Można powiedzieć że ją odmładzała młodość jej dzieci, szczególnie wesołego, żywego i dowcipnego Julka, który jak matkę, tak rodzeństwo, tak wszystkich umiał oczarować.

Tak tedy Juliusz, do którego wracam, wychowywał się nie już pod okiem, ale przy sercu takiej matki do lat, w których można go było oddać do szkół publicznych. — Rozłączenie krótsze i dłuższe, oddalenie czy to bliższe czy dalsze, nieprzerywało ciągu tej tkliwej czujności macierzyńskiej, jaka wszędzie za nim w ślad biegła.

Bliskość Krakowa, gdzie kończył gimnazjum, gdzie matka często przesiadywała, otaczali bracia, nie miała cechy prawdziwego rozłączenia; towarzystwo nawet w którym żył, składało się najwięcej z krewnych lub przyjaciół jego rodziny. — Lubiony dla swego wesołego charakteru, miłego ułożenia, pożądanym był na wieczornych zabawach.

Niepsuło go to jednak; — nigdy nie widać w nim było cienia zarozumiałości; — jakim był od najmłodszych lat, takim pozostał. — Naturalna swoboda, przyjemny układ, humor wesoły, ton koleżeński, respekt dla starszych, były własnościami jego zachowania się. — Ta jednostajność

ujmowała mu serca, robiła często powiernikiem.— Starsze grona uczącej się młodzieży z natury swej bardzo wyłączone, przypuszczały go chętnie do swoich ściślejszych kółek, tak wiele ufano jego szlachetnemu charakterowi.

Tutaj pozwolę się wyręczyć jednemu z bardzo bliskich szkolnych jego towarzyszków, który miał wszelką sposobność obserwowania go, w tym wieku, co jeszcze niechowa się z swemi przymiotami i wadami pod sztuką udawania, co żywością uczuć, lub skłonności, zdradza się mimowolnie. Pióro to najlepiej odmaluje Juliusza w koleżeńskich stosunkach.

„Miło mu było wiedzieć, że był powszechnie lubionym; bo komuż to nie miło? ale próżnym nie był, i nietylko z zalet swoich chluby nie szukał, ale co większa, nigdy naprzód się nie wysuwał, ustępując drugim pierwszeństwa, co w tym wieku wyścigów do rozgłosu, rzadką i piękną jest rzeczą. Jeżeli kto drugi się podobał i był z czegokolwiek chwalony, to on pomagał jeszcze. Zazdrość była dlań obcem uczuciem.— Miał może inne wady; ale wady brzydkiej, wady niższego umysłu i serca, nie miał ani jednej; ani zazdrości, ani podstępu, ani obłudy, ani chciwości, ani samolubstwa.... My starsi od niego, mieliśmy jedną wadę wyłączności dla tych, co

nam się niepodobali lub wydawali się niegodnymi naszego towarzystwa; byliśmy chłodni, często nieprzyjemni, czasami dumni. On niebył nigdy względem nikogo dumnym. Nieraz bronił, a co lepiej, garnął do siebie każdego, któregośmy za głupiego lub nieznosnego osądzili i odpychali.

„Raz mówiłem, patrząc na jednego kolegę nielubionego od nas: po co ty do niego chodzisz, o czem możesz z nim rozmawiać?— On na to: „wdaję się z nim, bo go nikt nie lubi, a on to czuje i robi się coraz bardziej gorzkiem i dziwaczny.“

„Ażaliż to nie uczynek wielkiej miłości chrześcijańskiej, podnieść jak on podnosił i upokorzonego we własnych i ludzkich oczach? Nieraz się też zdarzało, że przez jego wpływ, chłopcy, po których się nie można było wiele dobrego spodziewać, nabierali lepszych wyobrażeń o swoich powinnościach, o honorze, o życiu.— Nie moralizował ich, nieprawił kazań, może ani wiedział o swoim zbawiennem działaniu, a jednak działał tak, jak słońce, kiedy ogrzewa, deszcz kiedy ziemię orzeźwia; prawem y siłą swojej natury.

„Do wielkich jego zalet towarzyskich należała dyskrecya i wierność w przyjaźni. Tajemnica była mu świętą; cudzego sekretu, choć

nieraz zdarzała się pokusa wyjawienia go, i to bez szkodliwych dla nikogo następstw, nie mu wydrzeć nie mogło. — Przyjaźni dotrzymywał jak rzadko między młodymi. Komuż się nie zdarzały chwile złego humoru, żalu lub niechęci, nawet względem osób najbardziej kochanych? I jemu musiało się to zdarzać; a jednak nigdy z jego ust niewymknęło się złośliwe słowo po za plecami osoby, z którą był w ściślejszym stosunku. — Przyjaciół był mu świętym. Wady jego tłumaczył i uniewinniał, śmieszności nie chciał sam, a drugim widzieć niepozwalał, choć je znał dobrze.

„Dowcip jego choć często brał na cel słabości lub śmieszności ludzkie, był w tem jakiś uczciwy i szlachetny, że bólu nie sprawiał i zawsze można było jego koncept powtórzyć temu, kto był jego przedmiotem.

„Dla siebie i dla drugich miał zawsze zdanie trafne i zdrową radę. Dziwna nawet jak przy swojej żywości z temperamentem, który w młodszych latach był dosyć prędkim i porywczym, mógł wyrobić w sobie tak wcześnie tyle spokojności i umiarkowania, ile okazywał w trudnych razach i przeciwnościach. Znać było po nim, że ta cierpliwość i łagodność była nabytą a nie

przyrodzoną, co wszakże niezmniejsza jej wartości, ale ją raczej podnosi.“

Do tych ostatnich słów kolegi dodam tylko, że to właśnie było najpiękniejszym dziełem miłości macierzyńskiej. Umieć siebie zwyciężyć, starożytni mędrycy liczyli do najszczytniejszych zadań.

Juliusz nie odrazu nabył tej sztuki i on jak każdy młody, rwał się do przyjemności i uciech uśmiechających się doń tak wdzięcznie na samym progu życia, że niejeden młodzieniec postawiony w jego warunkach, byłby dostał zawrotu głowy.

Atoli mądrość matki czuwała nad tem, żeby jej syn niebłyszczał blichtrzem próżności majątnego panicza. — Utrzymanie jego w mieście, gdzie był na naukach, było skromne i wyrachowane, tak iżby niemogło przeszkadzać w pilnem przykładaniu się do nauk.

On, co tak wybornie jeździł na koniu i miał ulubionego wierzchowca na wsi, — zatęsknił za tą dość kosztowną przyjemnością i gwałtem napierał się, żeby swego Lionela mogł do Krakowa sprowadzić. — Zdawało się, że tak ukochanemu i pieszczonemu dziecku nie można było niczego odmówić; — tymczasem rostopność matki nie tak łatwo poddawała się zachciankom młodzień-

czym.—Po długich naradach, długich zwłokach i gorących zapewnieniach ze strony Julka, że ta przyjemność w niczem nieprzeszkodzi mu do nauki,—przyzwolono na Lionela.

Posłuchajmy co matka mu pisze w tej okoliczności:

„Otóż i Lionel! Otóż i wierny Jasiek! Oto „nareszcie dowód słabości matki i brata.— Mój „Julu! staraj się, żebyśmy może za tę zbyteczną „chęć zrobienia tobie przyjemności, niepokuto- „wali biedą twoją na ziemi, a naszą w czyśćcu.— „Bo prawdę powiedziawszy, należało w tak kry- „tycznych czasach uczyć ciebie przewycięzania „gwałtownych, a niekoniecznych życzeń, kiedy „starsi z codziennych istotnych potrzeb rozsąd- „kowi albo niemożności ofiarę czynić muszą! „Koń dla rozrywki, do wypoczynku po pracy, nie „do rostargnienia niech ci służy i nie do dogad- „dzania próżności, mój Julku. — Im mniej będziesz dbał o ściąganie na siebie uwagi, tem „bardziej na nią zasłużysz. — Baw się umiarko- „wanie a ucz zapamiętane: i t. d.“

Pod tak wybornym mistrzem, Julek coraz więcej uczył się panować nad sobą; obowiązek szedł u niego przed przyjemnością, jak to zobaczymy w inszych okolicznościach.

Tak tedy po skończeniu gimnazjum w Krakowie, nie miał już przy sobie mentora; był tylko starszy brat, z którym pojechał do Wiednia na studia uniwersyteckie, gdzie oprócz tego brał lekcye prywatne, a w chwilach wolnych od pracy, oddawał się z zamiłowaniem muzyce.— Głos miał śliczny, przyznawano mu to, i on sam musiał czuć, że ten język harmonii odpowiada jego wewnętrznemu usposobieniu. Później, za bytności w Rzymie, w tej stolicy śpiewu, brał jeszcze lekcye od dobrego mistrza, który oceniwszy wrodzony dar jego, polecał go własnoręcznym bilecikiem Alaremu w Paryżu, w tych wyrazach: „*Bella voce, e grande disposizione a ben accentare e con anima.*“

Pod tę porę kiedy w Wiedniu przebywał, okoliczności niezależne od jego woli, zrobiły go właścicielem majątku w ziemi. Tym sposobem, choć jeszcze ani pomyślał o szukaniu dla siebie pozycyi w świecie, takowa znalazła go, i to w warunkach wcale niełatwych; tak dalece, że zaraz na wstępie, on, co miał trzeźwy pogląd na rzeczy, poznał jak wielki ciężar przyjął na swoje barki.

Inny w jego latach i położeniu, byłby może nieoddał niefrasobliwej młodości za trudy i obowiązki przywiązane do charakteru właści-

ciela ziemskiego majątku; ale on, wiedziony trafny m zmysłem praktycznym, który mu był właściwy, oswoił się z twardą koniecznością i zaraz ułożył sobie, w jaki sposób mógłby najlepiej odpowiedzieć zadaniu. Mając przed oczyma tysiączne smutne przykłady na improwizowanych agronomach, postanowił na seryo zabrać się do gospodarstwa wiejskiego, a zrobić tego niemógł, bez poprzedniego przygotowania się. Tym końcem, wybrał sobie najzawołańszą ze szkół agronomicznych, Hohenhejmską, i tam też udał się na naukę.

Dla młodego chłopca, oderwać się od świata, od przyjemności wielkiej stolicy, a co więcej wyrwać się z rodzinnych stosunków, tak słodkich, tak serdecznych, w jakich dotąd żył i wyżej cenił nad wszystko — a przenieść się w stronę obcą, gdzie niewiązała go żadna znajomość, gdzie czekała twarda proza ścisłej nauki i móżolnej praktyki — było dowodem pewnej siły w postanowieniu i wytrwałości.

Ten jeden dowód jużby przekonywał, jak główka ta wesoła, na pozor lekka, lubiąca zabawę i towarzystwo, była zdolną, gdy sobie powiedziała: tak trzeba! z największą cierpliwością znieść wszelkie przeciwności i przykrości dla raz powziętego celu.

Juliusz przybywszy do Hohenheimu, zastał może gorzej niż się spodziewał.... Towarzystwo nowych kolegów nieprzedstawiało wiele powabu, a ze znajomych, nikogo; na domiar, niemogąc znaleźć pomieszczenia się w samym instytucie, który był przepełniony uczniami, musiał wziąć prywatne mieszkanie we wsi o pół godziny drogi, i kontentować się izdebką pod strychem.

Smutną tę perspektywę zasępiła brzydka jesień, deszcze, błota i zimna, śród których codzień półgodzinną przestrzeń przebiegał, na słuchanie wykładów, kiedy, z powrotem nieczekała go matka, ani żadne z rodzeństwa, ani który z przyjaciół młodości; nie czekał go nawet, ów samotności pocieszyciel — rzeźwiący ogień kominka. O tych przykrych wrażeniach, z jakimi się spotkał w Hohenheimie, z lekka tylko natrącał w listach do matki; za to przed bratem opisywał i stan swej duszy i położenie.

— „Niechciałbym ci zrobić przykrego wrażenia — pisał wkrótce po przyjeździe do Hohenheimu (w Listopadzie 1860 r.) — gdy opowiem obszernie o sobie; dość ci wiedzieć, że usposobienie moje już i tak rozdrażnione oddaleniem od was wszystkich i zupełnem osamotnieniem, musi być nieprzyjemne, tem bardziej, jeżeli unieprzyjemniane drobnymi ale ciągłymi

„codziennemi niewygodami, jak złe, zimne i nad-
„zwyczaj odległe mieszkanie, złe jedzenie, zła
„herbata, choć w domu robiona, — nawet złe cy-
„gara i t. d,

„Opisałem wszystko w liście do mamy szcze-
„gółowo; ale starałem się nadać listowi obrot
„krotochwilny. — Niemyśl jednak żebym tu de-
„sperował.“ W innym liście, tak znowu maluje
swoją sposób życia:

„Niemając zupełnie do kogo gadać, mówię
„sobie gdy wyjdę na pół drogi między Hohen-
„heim a moją rezydencją w Pliningen na wy-
„soką górę, w szczerę pole: jakie лихо ciebie
„tutaj przyniosło? Nielepiej to było na koniach
„karki kręcić, albo po dzikowskich kępach i la-
„sach uganiać?

„Gdybym sobie parę razy takie pytanie za-
„dał, to nieczekając nań od siebie samego od-
„powiedzi, dernałbym ztąd porzuciwszy naukę
„zakładania łąk i elektoralne owce, a nie oparł-
„bym się aż przy twoim kominku.—Szczęściem
„rozsądek, który wprowadzie dobrze się ukrywa
„u mnie, niemniej jednak kolosalnych jest roz-
„miarów, odpędza zdaleka wszystkie niepotrzebne
„przypomnienia i t. d.“

Mimo tej walki z rodzajem życia, tak prze-
ciwnym jego nawyknieniom, wytrwał on do koń-

ca w przedsięwziętym zamiarze nauczania się gospodarstwa. — W pracy, w osamotnieniu dojrzewał moralnie, charakter jego duszy wyrabiał się w tych drobnych przeciwnościach, na które sam się skazywał. — Dotąd wszakże przykrości nie były wielkimi cierpieniami; znosił je też z wesołym humorem, jak ten, co umyślnie szuka trudów myśliwskich, co się chce zmęczyć i wygłodzić, aby tem przyjemniejszym był wieczór i wypoczynek.

Możnaby powiedzieć, że opatrność łaskawa w swoich najtwardszych wyrokach, dała mu to natchnienie, żeby na tej Tebajdzie agronomicznej, w wyrzeczeniu się wielu przyjemności, do których nawykł był od dzieciństwa, przysposobił się do zniesienia najboleśniejszego ciosu...

Na dniu 23 Lutego 1862 r. doszedł go telegram od przyjaciela w tych lakonicznych jak piorun i jak piorun zabijających słowach: „Matka „twoja niebezpiecznie chora — zapalenie płuc — „przybywaj.“

Jenialny ten wynalazek przesyłania myśli, ma tylko tę jedną niedogodność, że kiedy kogo powoła, nie przenosi go lotem błyskawicy, lecz pozostawia wszystkim warunkom gatunkowej ciężkości, z niezliczonemi męczarniami wyobraźni, niepokojów serca, lub złudzeń nadziei.

Juliusz oddał się na kolej i ta go niosła w objęcie nieszczęścia...

Zapalenie płuc w podeszłym wieku, przy zawsze delikatnem zdrowiu, mogło tylko skończyć się śmiercią.

Przez jakie tortury przeszło serce kochającego syna, ktoż to opowie?

Od tej chwili można powiedzieć; pierwszy raz poznał się z prawdziwym smutkiem; wszystko bowiem, co dotąd przeżył i doświadczył w tem niedługim życiu, wydawało się mu jak jeden dzień majowy, jak jeden uśmiech, jedno senne marzenie.— Rzeczywistość śmierci, ta najprawdziwsza z wszystkich rzeczywistości, weszła przebojem w jego młodość dotąd tak pogodną.

Pod takim ciosem prędko się dojrzewa.

Sieroctwo odejmujące przyrodzone podpory, na których tak lubo wspierać się, zmusza cię stać o swojej mocy. — Juliuszowi ubyła najsilniejsza podpora, której winien był wszystko.

Po tak ciężkiej stracie nie uniósł żałoby swojej w inne miejsca, gdzieby się mógł rozerwać; przeciwnie, kilka tygodni przepędził w tym Dzikowie, który mu przywodził na pamięć tyle błogich chwil młodości i tę najczarniejszą, co życie jego przecięła na dwie połowy.

Wszystek ten czas obrócił na słodzenie smutków swoich sióstr i braci.

Z niemi tylko przebywał... Każda dojrzana łza, każde zasępione czoło, każde westchnienie, już go przyciągało... Niemal zazdrościł rodzeństwu, jeśli ich strapien nie dzielił; tak czuł się w prawie przeniesienia na nich tych pieszczot i tych pociech, jakimi przywykł być otaczać swoją matkę.

W duszy do głębi trawionej smutkiem, miał nieprzebrany skarb czułości dla drugich.

Tak zbiegło kilka tygodni... Pomny na swoją przyszłość, niechciał zupełnie zaniechać przerwanych studyów w Hohenheimie, i na czas jakiś jeszcze tam powrócił;— z tem wszystkiem układał sobie na zimę pojechać do Paryża i Anglii, a może zacząć o Włochy— jednakże później zmienił plan i przedsięwziął podróż po Włoszech, z zamiarem wrócenia na Paryż.

Od nieodstępnego świadka pobytu Juliusza w Włoszech, pożyczam tu parę uwag, malujących usposobienie jego pod względem artystycznym:

„Dla wszystkiego co piękne, niebrak mu było zmysłu trafnego i nieudanego zapachu. — Bez pretensyi do znawstwa, wielkie miał w obrazach upodobanie, a instynkt w ocenianiu ich rzadko

go zawodził; — dostrzegał od razu tak zalet jako i stron ujemnych tego, na co patrzył. — Urokom pięknych rzeczy bardzo przystępny, zachowywał jednak w obec nich całą swoją niepodległość; — uniesienie sztuczne a zimne, uwielbienie konwencyonalne bez prawdziwego wzruszenia, było wstrętnem jego prostej naturze, i niewstydział się odejść od obrazu choćby Rafaela, jeżeli ten do duszy jego nieprzemawiał. — To też znowu kiedy się czemś naprawdę zachwycił, uniesienie jego wydawało się tem silniejszym i żywszem, że niebyło hołdem oddanym na ślepo książkowym powagom, ale wrażeniem pełnem dobrej wiary, wolnem od przesady i udania.“

Po zwiedzeniu dosyć szczegółowem Włoch północnych, podróżując wciąż weturynem i posuwając się zwolna ku południowi, a zatrzymując się we wszystkich miastach ważniejszych, najdłużej zaś w Rzymie, znalazł się Juliusz w ostatnich dniach stycznia 1863 r. w Neapolu.

Po tygodniowym pobycie tamże, kiedy każdy dzień zapoznawał go z nowemi pięknościami, i dodawał ochoty do jaknajdłuższego pozostania, wyczytał w miejscowym jakimś dzienniczku wiadomość o wypadkach warszawskich.

Nocna branka, ucieczka w lasy, opór zbrojny Moskalom, wszystko to zapowiadało grę, która

jeśli dość wątpliwe rokowała korzyści, to niewątpliwie niosła za sobą rozlew krwi i zniszczenie kraju.—W podobnych stanowczych chwilach, nieobecność ciąży niedozniesienia.— Wyjechał też natychmiast do Rzymu a ztamtąd niezwłocznie do Paryża, gdzie chociaż był po raz pierwszy, ledwo kilka dni zabawił i czem spieszniej wracał do Krakowa.

Miasto to na pierwszy rzut oka przedstawiało niezwykły widok. — Ulice roily się młodzieżą, wyróżniającą się samą powierzchownością ubioru. — Nadstawileś ucha na toczące się rozmowy, o niczem nie było słyhać, tylko że oddział jakiś wychodzi, wyszedł, lub wrócił; dowodził ten lub ów; — stoczono bitwę — Moskwa pobita — naszych tylu a tylu legło — Austriacy transport broni zabrali, — Francya idzie z pomocą etc. — Każda chwila przynosiła coś nowego; — jeżeli jaką złą wiadomość, to ją tłumiono żeby niepsuć ducha; jeżeli pomyślną — choć w homeopatycznej dozie, to jej dawano tak przesadzone rozmiary, że i najtrzeźwiejszy niewiedziały, czemu wierzyć a czemu niedać wiary. — Zgoła był to prawdziwy taniec szkieletów Holbeina, do ktorego rwało się wszystko, pędzone siłą sztucznie utrzymywanej konieczności.

Taka była fizyonomia zewnętrzna tej gry ze stawką o życie; — charakter jej wewnętrzny niemniej był traiczny. — W umysłach panowało najdziwniejsze zamieszanie pojęć, zatarcie wyrażnej granicy między najsprzeczniejszymi rzeczami: uczuciem i przekonaniem; między nadzieją a zwątpieniem, radością a smutkiem, między tem czego się najwięcej pragnie i przed czem się drży najbardziej — niemal między złem a dobrem. — W jednym i tym samym dniu niebyłeś pewny, czy masz się cieszyć czy smucić; czy pragnąć końca czy trwania? a jeżeli co było pewnego, to niestety! że mogłeś płakać i śmiać się razem. — Ludzie przywykli dotąd wspólnie czuć i wierzyć, razem kochać i jeden mieć cel życzeń i nadziei, niemogli w tych dniach smutnej pamięci, ani zrozumieć się ani zgodzić, i to w najprostszej rzeczy. — Niejednemu zdawać się mogło, że mu Bog dał mniej gorące uczucia, kiedy niebył w stanie przejąć się ogólnym zapalem i dzielić nadziei, o których głośno zapewniano; to znowu podejrzewał, że ten zapal był sztucznie rozdmuchany, a nadzieje oparte na wątpliwej wartości danych.

Mistyfikacya na wielką skalę, czasem udana jakaś otucha, często nieudana płochłość, były formalną epidemią, co zawracając głowy, za-

macając pojęcia, niedozwalała trzeźwo sądzić o wypadkach, i bez uprzedzenia pomyśleć o tem, jakie jutro nas czeka.

Takie usposobienie zastał Juliusz w Krakowie i w całym kraju, gdy wrócił z zagranicy.— Od pierwszej zaraz chwili dał się z tem słyszeć w kole dawnych znajomych i kolegów, że jeżeli powstanie potrwa, udział w niem weźmie;— jednakowoż, czy wiedziony instynktem, czy trzeźwiej oceniając wypadki, nie dał się porwać ogólnemu prądowi, unikał lekkomyślnych zobowiązań i obietnic.— On, co tak chętnie brał na siebie odpowiedzialność za własne postęпки, nie raz odzywał się nie bez goryczy, kiedy widział, z jakim naciskiem opinia pędziła ludzi na pole bezowocnej walki: „Powołania wielkiego do kariery powstańczej nieczuję, ani mnie pociąga ten rodzaj wojny; ale dobrej wymówki nie mam i wymawiać się też niemyślę. — Zobowiązań na siebie niebrałem, a jednak po imieniu rachują mnie do tych, co iść mogą i powinni.“

W kółku młodzieży z którą żył najbliższej, powstała myśl sformowania oddziału, złożonego nie z jakiejś zbieraniny, niedotrzymującej kroku za pierwszym wystrzałem, i zdyskredytowanej urzędową nazwą—uciekinierów: lecz z ludzi znają-

cych się między sobą jeszcze od szkolnej ławki.— Takim wyborczym hufcem dowodzić miał odpowiedni charakteru zacnością, wypróbowaną odwagą i znajomością sztuki wojkowej, dowódca.

Głównym celem tej formacyi, mimo że niewyznawanym otwarcie, było: poprawić zachwiejnej nieco sławy, odbyć w granicach możebności kampanią, która jeżeli nie osiągnąć strategiczne korzyści, mogłaby przynajmniej zajaśnić wśród powstania, i odświeżyć w pamięci dawne męstwo i dzielność polskiej broni. — Honor narodowy czuł się dotkniętym; trzeba było jaką świetną akcyą — choćby przyszło wszystkim głową nałożyć — przyczynić piękną kartę do dziejów naszej walki o niepodległość.

Bóg niebłogosławił tym marzeniom.

Z wyborem dowódcy niedługo się namyślano, i niemożna powiedzieć inaczej, jak tylko że wybór był trafny. — Powołano z Paryża pułkownika Zygmunta Jordana, który odznaczył się był w wojnie węgierskiej, pod Dębińskim i Bemem, a we wschodniej bohaterską obroną małej twierdzy tureckiej nad morzem Czarnem przeciw przemagającej sile Moskali. — Jemu ofiarowano komendę mającego się tworzyć oddziału.

Zima wlekła się wśród przygotowań i niepewności.—Coraz nowe klęski, coraz sprzeczniejsze wiadomości, wreszcie kierunek jaki zaczynało przybierać powstanie i bezimiennosc powstańczego rządu, budziły zwątpienie. — Tylko noty dyplomatyczne trzech gabinetów i stosunki z emigracją podtrzymywały gasnące nadzieje.

Nieda się zaprzeczyć że początek interwencji dyplomatycznej był rzeczywiście taki, iż musiał stworzyć położenie rzeczy które wymagało coraz nowych ofiar. — Noty zbiorowe Francyi, Anglii i Austrii przypuszczały papierowy szturm do Petersburga;— z Paryża dochodziły od osób wpływowych listy zalecające wytrwałość, lub łudzące tą podżegawczą, z wysokich sfer zaczerpniętą obietnicą: *w miarę jaką przestrzeń zajmie powstanie, tak wielką będzie Polska.* — Wszystko to elektryzowało umysły i pędziło do ofiar.

Z nadchodzącą wiosną owe kółko młodzieży będące zawiązkiem układanej wyprawy a złożone po większej części z synów obywateli ziemskich zaczęło się rozjeżdżać do domu dla robienia przygotowań. — Szyto mundury, sprowadzono broń, ujeżdżano konie i zostaje się zaciąganiem żołnierzy i wyszukaniem zdolnych podoficerów.

Tym czasem, przykład różnych oddziałów przekraczających ciągle granicę i ciągle wyrzucanych, często ze stratą, a częściej bez straty, musiał robić przykre wrażenie na dowódcy przywykłym do rozpraw orężnych na seryo, a nie do zbrojnych demonstracyj; nie więc dziwnego, że Jordan zwłóczył termin wyprawy chcąc i liczbą ludzi i uzbrojeniem znaleźć się w warunkach prawdopodobnego utrzymania się choć parę tygodni.

Oprócz trudności sformowania dobrze uzbrojonego i mocnego oddziału, która była koniecznej zwłoki przyczyną, może i ta myśl nasuwała się sumiennemu dowódcy, że cały ruch powstańczy lada dzień stłumionym zostanie, a więc i na nim przestanie ciążyć obowiązek wprowadzenia w bardzo wątpliwy bój, tylu ludzi młodych, pełnych nadziei, których strata nieopłaci się chwałą bezowocnej śmierci.

Oznaczono wreszcie dzień wyprawy na 20 czerwca, obierając okolicę Szczucina do przejścia granicy, jako dogodną, z powodu niskiego stanu Wisły, oraz mniejszej—jak przypuszczano, czujności nieprzyjaciela.

Juliusz wraz z innymi opuściwszy Kraków, cały czas aż do 20 czerwca przebył w Dzikowie,

gdzie się pilnie zajmował ujeżdżaniem koni, umundurowaniem i uzbrojeniem....,

Te kilka tygodni w gronie rodzinnem, w miejscach obudzających tyle błogich wspomnień, zdawały się być odnowieniem dawnych czasów, kiedy w zamku dzikowskim obok szczęśliwej matki, gromadziła się niegdyś szczęśliwa dziatwa.

Poważny i uroczy Dzików oddalony od większych miast i od głównych gościńców przy których największy ruch panował, sprzyjał ciszą swoją tym niedługim chwilom, które można by nazwać wykradzionemi z pod tej ogólnej zamieci, co miała kraj cały zasypać.

Juliusza towarzyski, miły humor, ożywiał najposępniejszych. — Swobodny, wesoły, nigdy niepokazał on po sobie żeby go trapiła jakaś obawa przed tą grą hazardowną w której jedyną stawką była niewola lub śmierć.

Kilka razy w poufnej rozmowie starano się wybadać z niego, stawiając mu przed oczy wszystkie ówczesne konstellacye polityczne wcale nierokujące pomyślnych widoków, niemiej jak sposób prowadzenia partyzantki bez udziału ludu, — czy niedałby się skłonić do wycofania się od tej wyprawy, albo przynajmniej do połączenia się z oddziałem, gdy ten

przejdzie granicę i znajdzie jaki taki punkt oparcia?

Lecz on na te wszystkie przedstawienia które niemogły nietrafiać do jego zdrowego rozsądku, odpowiadał zwykle wybiegliwie, czasami mięknał, a raz przyparty do muru, powtórzył dawniej powiedziane słowa: „niezobowiązywałem się do niczego, mimo to czuję że zaangażowany jestem i muszę raz przynajmniej z bliska prochu powąchać. — Ale raz zostawszy *uciekinierem*, dodał żartobliwie — obiecuję że mnie drugi raz nieślapią.“

Ten sposób widzenia nie miał nic wspólnego z rewolucyjnym szaleństwem; — była to raczej zimna, spokojna reflexya. — Z takim usposobieniem iść do walki o której wie się naprzód że tylko klęską skończyć się może, — że choćby nieprzyjaciół doznał porażki, to i największy tryumf małej garstki niezdola ocalić sprawy; słowem, iść dla tego żeby pięknem i pocziwem, imieniem przyczynić się do nadania ruchowi piętna narodowej wojny, — iść z takim usposobieniem, to już przechodzi granicę zwykłej odwagi rachującej się z wieńcami sławy, — to więcej niż bohaterstwo — to ofiara, którą może kiedyś Bóg w godzinie zmiłowania policzyć.

Na krótko przed terminem wyruszenia w pole, pewnego poranku, kazał sobie Juliusz osiodłać konia i wyjechał sam, o niezwyklej godzinie.

Dokąd jeździł? nikt niewiedział.

Później dopiero przypadkiem dowiedziano się że jeździł do pobliskiej wsi, do znanego z pobożności kapłana, przed którym spowiedź odbył. Nazajutrz podobnie zniknął o godzinie wieczornej, a zamknąwszy się w swoim pokoju, napisał krótki testament.

W ciągu tego dwukrotnego na śmierć przygotowania się, niktby pewnie niebył wyczytał z jego twarzy i sposobu zachowania się że rozmawiał z tym tajemniczym światem, w który nigdy niemożna patrzeć bez wzruszenia i w zetknięciu się z nim, niewynieść choć cienia smutku.

On, niczem nie zdradzał wewnętrznych wrzuceń — owszem, z jednostajnym humorem, niekiedy żartem i uśmiechem na ustach, uspokajał otaczających, powtarzając: „Nie mi się niestanie, jak pójdę tak wróć.“

Czy zaś w duszy jego odzywały się jakie smutne przeczucia; czy może w snach widywał matkę wzywającą go do siebie — i ta nadzieja, że się z nią połączy, równoważyła żal za tymi, których miał zostawić? któż to odgadnie...

Tego samego wieczora proszono go żeby śpiewał.

Niedrożył się nigdy, więc i tym razem o-
choczo rozłożył nuty, i przystąpił do fortepianu;
śpiewał dosyć długo, a w miarę jak przycho-
dziły miejsca które chciał oddać z silniejszym
czuciem, pierwszy raz dostrzedz było można
trochę wzruszenia. — Dziwnym jakimś trafem
w liczbie ostatnich jego śpiewów, była ta pieśń
Schillera, którą śpiewa córka Wallensteina w prze-
czuciu swoich nieszczęść; — słowom pełnym
tęsknoty dodaje jeszcze rzewności ponura mu-
zyka Szuberta. Osobom przysłuchającym się, a
zostającym pod wpływem tej poezyi i tej muzy-
ki, zdawało się że głos Juliusza był trochę drżą-
cy gdy mu przyszło śpiewać ów znany wiersz:

„Ich habe gelebt....

Było to pożegnanie z życiem—ostatnie po-
żegnanie poezją i śpiewem.

Wybiła nareszcie godzina wyjazdu... Juliusz
chciał być panem swych wzruszeń; i gdy nade-
szła chwila pożegnania się z Dzikowem, które
mogło go było rozrzewnić — prędko wszystkich
pożegnał i zbiegłszy po wschodach, jednym sko-
kiem siedział na wózku.

Było to 19go czerwca w piątek, kiedy odjechał do Ch... gdzie zastał już Jordana z kilkoma oficerami.

Wieś Ch... o parę mil odległa od Wisły, była punktem zbornym gotującej się wyprawy.— Tam rozdano oficerom nominacye, wysłano broń dla piechoty ukrytej w lesie; na jednym z folwarków umontowano kawaleryą w liczbie 50-ciu koni — i tak zorganizowawszy się z grubszego, wyruszono ku granicy.— Samym wieczorem Jordan wyjechał do Z..... wioski nad Wisłą położonej, stanął we dworze, a tymczasem w pobliskim lasku miano ostatecznie sformować się i uzbroić.

Cała siła wyprawy składała się z dwóch oddziałów, mających jednocześnie przebyć Wisłę w dwóch punktach, odległych od siebie na półtorej mili; pierwszy powyżej Szczucina, pod dowództwem Dunajewskiego, drugi poniżej, prowadzony przez Jordana, a wzmocniony dwoma plutonami jazdy, mającej po przejściu granicy ułatwić połączenie obu oddziałom, które razem wzięte, wynosiły około 700 ludzi.

O godzinie drugiej po północy, wyjechał Jordan na oznaczone miejsce w lesie, gdzie zastał drugi z wymienionych oddziałów, oczekujący na broń i mundury.—Widok ludzi, których

miał w ogień wprowadzić, przykre na nim zrobił wrażenie; i nie mogło być inaczej; bo ta zbieranina obdarta i niesforna, wyglądała raczej na zbiegowisko uliczne, niż na wojsko, choćby nawet nieregularne.— Przy pomocy kilku sprawnych ludzi, zajęto się zaraz rozdaniem mundurów i butów, z którymi każdy umiał sobie poradzić; — gorzej poszło z karabinami, które mało kto umiał trzymać; gorzej jeszcze z ładunkami, bo o nabijaniu i założeniu bagnetów, ledwie nie sami podoficerowie mieli wyobrażenie. — Oddział podzielono na cztery kompanie; dowódzca oddziału mógł znać osobiście czterech poruczników, ale porucznicy nieznali już swoich podoficerów, których widzieli pierwszy raz w życiu; również podoficerowie nieznali żołnierzy; wojsko nieznało nikogo.

Tymczasem nadciągnęła konnica, już sformowana i stanęła pod laskiem, czekając chwili wymarszu.— L. W., którego Jordan chciał mieć przy sobie, a z nim Juliusz Tarnowski i Ł. D. mianowani adjutantami, przybywszy razem z konnicą, odłączyli się od niej i zbliżyli do Jordana, który przechadzał się milecząco, zapytując co chwila: jak prędko piechota będzie gotowa?— Czas też był wielki, bo dzień poczynało, a jeszcze było blisko ćwierć mili do Wisły. — Opodał od

zbrojącej się piechoty, zebrało się kółko kilku młodych oficerów, tworzących sztab Jordana; w ich liczbie był Juliusz.

Rozmawiając między sobą po cichu, spoglądali niewesoło na tę improwizowaną armię, którą mieli prowadzić w ogień.— Na niejednej twarzy malowało się znużenie i rozczarowanie, nawet w najgorętszych, zapał musiał ustąpić miejsca rezygnacyi.— Odpędzając od siebie przykre wrażenie, Juliusz zaczął stroić żarty; raz i drugi, bliżej stojących dowcipnem słówkiem rozśmieszył; a gdy pierwszy promień wschodzącego słońca ukazał się ponad lasem „Patrzcie! rzekł półgłosem—to samo słońce, co nam pod Austerlitz świeciło.“ Uśmiechnęli się wszyscy, choć nikomu nie było do śmiechu na widok tych niepoczesnych zastępów, co miały stawić czoło regularnym szykom Moskali.

Dowódcy kompanii usłyszeli nakoniec komendę do wymarszu; i zbierana drużyna nagle przeobrażona w wojsko, lepszym niż się można było spodziewać porządkiem, ruszyła z miejsca.— Umundurowanie, broń, szyk regularny, dały nawet temu oddziałowi lepszy pozór, i niejeden sobie pomyślał, że z odrobiną szczęścia i wytrwałości, toż z pomocą Boga i kilkunastu dziel-

nych młodzieńców, siła ta może zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi.

Gdy piechota wyszła z lasu, dzień był już zupełny.

Kawaleria uszykowana dwójkami, czekała na ukazanie się dowódcy, który konno, w towarzystwie adjutantów zwolna postępował.

Za danym znakiem ruszyły konie, zaszeleszczały chorągiewki i cała siła zbrojna była w pochodzie ku granicy.

O godzinie 7 z rana oddziały stanęły nad brzegiem Wisły.

Po krótkim wypoczynku, jeden z pieszych ochotników zaczął brnąć w wodę, za nim poszli inni, i w kwadrans całe wojsko znalazło się na środku rzeki.

Juliusz żegnając się jeszcze na brzegu, prawie ostatni wjechał w wodę.

Widok tej przeprawy nappełniał niespokojnością, bo lada siła nieprzyjacielska, ustawiona na drugim brzegu, mogła strzelać jak do kaczek — jednakowoż rzekę przebrnięto szczęśliwie, bo na przeciwnej stronie niebyło nikogo.

O tym samym czasie druga część wyprawy t. j. oddział, pod komendą Dunajewskiego, bez przeszkody przebył wplaw Wisłę, i na drugim brzegu pierwszy spotkał się z nieprzyjacielem.

Zarośla pokrywające w tem miejscu lewy brzeg rzeki, dawały oddziałowi korzystną pozycję, naprzeciw jednej rotы moskiewskiej, która pokazała się na polu. — Nasi rozpoczęli ogień karabinowy i wkrótce spędzili Moskali; lecz gdy następnie przyszło wysunąć się na czyste pole, oddział, który się w krzakach trochę poplątał, począł się wahać, a ktoś odezwał się, że u żołnierzy brak kabsli — zaraz też wszczął się popłoch i zamieszanie w szeregach.

Namowy i rozkazy dowódców, nawet najostrzejsze groźby, pozostały bez skutku. — Jeden z oficerów, do chcącego umykać żołnierza, strzelił z rewolweru i trupem go położył; ale i to nieprzywróciło porządku i karności w szeregach. Zdaje się, że Moskale postrzegłszy ten nieład, śmiało natarli na zdemoralizowany oddział, który też w popłochu do Wisły uciekać począł. — Część zginęła od kul nieprzyjacielskich jeszcze na tamtym brzegu; inni wpadłszy na głębinę w przeprawie, potonęli; reszta co wyszła cało z tej niefortunnej walki, przez Austryjaków rozbrojoną została.

Kiedy się to dzieje, kawaleria wysłana przez Jordana dla połączenia obu oddziałów, spotkała w drodze dragonów moskiewskich, którzy ją od piechoty odcięli; z Dunajewskim przeto

złączyć się niemogła, bo ten, jak już opowiedziałem, po krótkiej utarczce był do szczytu rozbity, a owa rota moskiewska, co się z nim rozprawiała, uwolniwszy się z tej strony, spieszyła w pomoc drugiej rocie stojącej we wsi Komorowie, z którą wkrótce miał zetrzeć się Jordan.— W końcu, jazda ta naparta przez dragonów, będąc za słabą, żeby stawić czoło w otwartem polu, prawie bez straty przerzuconą została za Wisłę.

Przenieśmy się teraz do drugiego oddziału, przy którym był Jordan. — Piechota jego po przeszło godzinny marszu w kierunku ku Stopnicy, napotkała drugą rotę Moskali między wsiami Słupcą a Komorowem. W pierwszej chwili nie było innego zadania, tylko uderzyć, i wyparować nieprzyjaciela z zajmowanej przez niego pozycyi, aby otworzyć sobie drogę w głąb i połączyć się z oddziałem Dunajewskiego, przeprawiającym się o pół mili wyżej.

Jordan rozporządził odpowiednio do tego położenia, siłami, któremi dowodził. Uszykowawszy do ataku pojedyncze kompanie, zostawił przy sobie w odwodzie do 40 ludzi pieszych i kilku konnych, w miejscu dogodnem do obserwowania poruszeń wszystkich oddziałów.

Zaatakowana z razu przez naszych piechota moskiewska, cofnęła się po krótkiej roprawie po za wieś Komorów, i kiedy już zdawało się, że niema przeszkody do dalszego pochodu — w tem, z tyłu naszej rezerwy, uszykowanej na wale nadwiślańskim, ujrzano tuman kurzu wzniecony pędem kawaleryi.

Nie bez powodu domyślano się, że ci jezdni byli naszą kawaleryą, wracającą z rekonesansu; ale jakież nastąpiło rozczarowanie, gdy w tym tunianie kurzu rozległ się dobrze znany odgłos trąbki dragonńskiej, dającej sygnał formowania się do ataku na szczupły oddziałek powstańczy. Jenerał Jordan zachowujący przytomność i zimną krew, prędko sprawił swoją piechotę na łączce, konnych ustawił po skrzydłach dla pilnowania porządku, i surowo przykazał, aby nikt nieważył się strzelać, dopóki nienastąpi komenda. W tej chwili tak stanowczej, Juliusz stał na prawem skrzydle z rewolwerem w ręku, i utrzymując porządek w szeregach, a dodając odwagi żołnierzom, aby na krok nie cofnęli się, tyle dokazał, że oddział ten wytrzymał najspokojniej podwójną szarżę ośmdziesięciu dragonów, którzy zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków, a widząc spokojną i zdeterminowaną postawę naszych, zrobili odwrót w nieładzie — nareszcie

przekonawszy się, że tak łatwo nierozbiją tej garstki, stanęli uszykowani na pozycyi, z kąda paraliżowali każdy ruch powstańczych oddziałów.

W tem położeniu rzeczy, owa rota moskiewska, co zaraz w początku walki wypartą była za Komorów, spostrzegłszy, w jakich obrotach znajdowały się oddziały powstańcze, posunęła się naprzód, i zajęła wieś, a głównie skrajne zabudowania gospodarskie, i rozpoczęła pod ich zasłoną gęsty karabinowy ogień przeciw powstańcom uszykowanym w otwartem polu, a to z takim skutkiem, że w niewiele chwil wystrzelano im konie. Pod samym dowódcą Jordanem, dwa zabito. Piechotne oddziały nasze, pokryte w bujnych zbożach i zaroślach, rzadkiemi strzałami odpowiadały piechocie moskiewskiej, także pomykającej przez zboża; większa bowiem część ochotników nieumiała obejść się z bronią, i tylko kilkunastu odważniejszych chodziło między nimi, robiąc użytek z karabinów, i posyłając celne strzały na nieprzyjaciela.

Moment krytyczny! niebyło sposobu wyjść z niego inaczej, tylko przez śmiały atak na strzelców moskiewskich, zasadzonych w skrajnych chatach i szopach wsi Komorowa, skąd paraliżowali każdy ruch oddziałów powstańczych.

Jordan przewidując, że lada chwila otoczonym być może przez nadciągające posiłki Moskalom, postanowił odezwać się do tej dzielnej otaczającej go młodzieży, na której odwagę i poświęcenie się zawsze mógł rachować.

— Trzeba ich wyprzeć bagnetem — rzekł do bliżej stojących — innej rady tu niema.

— „Czy na ochotnika? zapytał Juliusz będący obok niego na koniu — Jeżeli Jenerał każe, to spróbuję.“

Jordan rozkazu nie dał; owszem odpowiedział przecząco, że go w żadnym razie nieposzle. — Po chwili jednak, gdy się przeciągało i pogarszało złe położenie, odezwał się Jordan powtórnie:

„Na bagnety! tylko na bagnety!“

Juliusz ponowił swoją propozycję, oświadczając gotowość uderzenia na Moskali z tymi, co zanim pójść zechcą, i wtedy to nie rozkaz wprowadzie, lecz przyzwolenie otrzymał.

Juliusz, którego już niecierpliwość brała na widok tej ślamazarnej bitwy, wyskoczył na koniu przed rozprószone w zbożu szeregi i zawołał donośnym głosem: że jest rozkaz uderzenia z bagnetem w rękę. — Poczem zsiadł z konia, odpasał pałasz, a porwawszy sztuciec od jednego

z kryjących się w zbożu, zakomenderował: Naprzód!

Ze 30-tu lub 40-tu ochotników ruszyło, usłyszawszy tę elektryzującą komendę, popartą przykładem; szybkim krokiem, zaczęto przebywać przestrzeń dzielącą ich od zabudowań.

Ponieważ na front osadzonych Moskalami budynków, uderzyć niepodobna było z tak szczupłą garstką, przeto Juliusz idący na czele oddziału, postanowił pędem obejść ogród i pasiekę przytykającą do zabudowań, i z tyłu napaść na nich, z kąd najmniej spodziewali się natarcia.

Z początku cały ten oddział zagrzany przemową i przykładem młodego dowódcy,—szedł jak jeden wytrawny już żołnierz, dopóki nie stanął u ogrodowego płotu, który trzeba było spiesźnie przesadzić... Moskale widząc zbliżających się, sygnęli do nich gęstemi strzałami, co tak zmniejszało i osłabiło ducha, że tylko siedmiu płot przeskoczyło—reszta haniebnie pierzchnęła...

Ci siedmiu, pomimo opuszczenia przez towarzyszy, nie cofnęli się, i z bagnetem w rękę szli dalej.

Dopadłszy pod szopę znaleźli się wśród kilkunastu Moskali których rozpaczliwem uderzeniem na bagnety wyparli za drugą ścianą stołoty, a sami zajęli ich miejsce.

Tu nastąpiła krótka chwila niepewności co dalej począć? Jeśli ginąć, to drogo sprzedać swe życie, a przynajmniej wykurzyć nieprzyjaciela z jego zasadzki.

— Zapalek! podpalić szopę! zawołał któryś.

Podpalono strzechę — niezajęła się.

To dało czas Moskałom do upamiętania się. Oficer ich niemogąc napędzić swoich żeby się rzucili na tych kilku śmiałków, wyskoczył sam jeden z poza węgła, chcąc się przekonać o sile naszych....

Za chwilę wyskoczył znowu, ale już ze sztucem w rękę.

Jednocześnie on strzelił i do niego dano ognia.

Kula moskiewska wiedziała kogo wybrać...

Rzucił okiem i znikł tak prędko, że nawet niepowitano go strzałami.

Juliusz wysunięty naprzód, ugodzony w czoło, padł pierwszy, a zanim stojący, towarzysz padł drugi, od tej samej kuli...

Pięciu pozostałych straciło ostatnią nadzieję ocalenia, jaką nawet w tej krytycznej chwili pokładali w odwadze i przytomności Juliusza. Na odgłos strzałów wysunęło się z po za szopy ze dwudziestu żołnierzy, i ci w odległości kilkunastu kroków dali ognia do tych pięciu. Czterech na miejscu poległo — jeden tylko ocalał.

Bóg go może na to zachował, aby jako naoczny i czynny świadek opowiedział szczegóły bohaterskiego zgonu Juliusza i jego towarzyszków.

Tak się skończyła pierwsza część bitwy 20 Czerwca. Fakt dopiero co opowiedziany, był jej najświetniejszym ustępem; najświetniejszym rzecz można, bo poświęcenie się i śmierć prawie dobrowolna tych kilku bohaterskich młodzieńców, rzuciła na tę niefortunną wyprawę jakiś poważny cień żałoby, który ją przynajmniej zasłonił od szyderstwa nieprzyjaciół, a może i swoich.

Kiedy wieść rozbiegła się o rozbiciu oddziału Jordana i o śmierci Juliusza — pierwszemu nikt się niedziwił; lecz w duszy zapłakał nad drugą. — A jednak strata ta dla tych co go znali i dla tych co tylko słyszeli o nim, jakkolwiek była bolesną, pozwoliła przynajmniej podnieść głowę. — Zginał jak bohater — jak jego wuj Juliusz Małachowski!... tamten zakrywając swą piersią korpus Sierawskiego; a ten ratując dobrą sławę narodu.

Każda kropla tej krwi rycerskiej była okupem nierycerskich błędów całej tej zawieruchy...

Pięknie to pojał i rozwinął kapłan jeden, wysokiego umysłu mąż, w liście pisanym z pocieszeniem do krewnych Juliusza. — Przytaczam

ten list, bo jest jakby kartą wyrwaną z historii owego czasu.

„Dobra sława ojczyzny ocalona. — Bóg ją ocalił samem jej nieszczęściem; bo nieszczęściem jest że tyle młodzieży zginęło i ginie; ale chwałą jest, że umieli zginąć. — Straszne są plamy któremi okryci motorowie dzisiejszego ruchu, jak gdyby się uwzięli splugawić piękne i czyste dzieje naszej ojczyzny, — ale ta bohaterskość naszej młodzieży tak wielka w samej nierozwadze i plamy obinywa i nowym blaskiem skroń ojczyzny rozjaśnia. — Mogłaby ta krew płynąć pożyteczniej; aleby nie mogła płynąć chwalebniej. — Młodzież, która tak umiała ginąć, jest na tę skrwawioną pierś Polski i balsamem leczącym i dyamentem pełnym blasku, obok najwspanialszych naszych historycznych magnificencyi. — Ona ratuje całą tę sprawę i przed Bogiem i przed ludźmi.

„Czy prawda że ten rozkoszny Julek nieżyje?!

„Ja mało kiedy co z nim mówiłem ale on dla mnie taki był zawsze dziwne sympatyczny! Choć jeszcze młody, bardzo nawet młody, to w samej młodości niedostatkach albo raczej w jej zbytnej nieujętej bujności, czuć było jakąś wyższość, jakąś niezwykłą szlachetność, jakby nieodłączną od imienia które nosił. — Milsze

„były i piękniejsze, i pełniejsze prawdy te jego pustoty, niż innych poważne nawet i słowa i czyny.—Miał on to, co wszystko zdolne jest zastąpić i wynagrodzić, a na czym tak dziesięcyszej młodzieży zbywa, to jest: świeżość i prostotę. — A jak była miłą ta figlarna, a mimo tego tak pełna prawdy fizyonomia, i ten sposób obejścia się ze wszystkimi najstósowniejszy.

„Czyż być może, żeby ten kwiatek padł podcięty!....

„Módlmy się dużo i gorąco; pukajmy do serca Zbawiciela, aby ratował życie kraju w młodem pokoleniu i aby już spełniającą się ofierze miłościwie kres położył.“

Trudno skreślić moralny portret Juliusza z większem podobieństwem, jak to zrobił autor tego listu, pisanego pod świeżem wrażeniem bolesnej wiadomości która go doszła — Wszystko tu jest: i ta prostota prawdy i ten wyraz sympatycznej szlachetności i ten wdzięk młodości czarujący nawet swoją pustotą; wszystko jest co podwyższa wartość tej ofiary, tak czystej i wzniosłej, że ona sama obmywa choć w części grzechy owej smutnej epoki.

„Dobra sława ojczyzny ocalona; — Bóg ją ocalił samem jej nieszczęściem“ — wielka w tych słowach prawda! — Ocalona dobra sława, nie dla

tego może iż tylu zginęło, ale że znaleźli się ludzie co tak zginąć umieli, bo jeżeli godnem jest uczczenia każde poświęcenie się dla kraju, jeżeli mają prawo do pamięci na tej ziemi ci wszyscy, co ochotnie siebie samych i życie własne niosą jej w ofierze, to przecież ofiara nie dla wszystkich jest równą. — Kto idzie do boju z zapalem i z nadzieją zwycięstwa; kto sobie mówi że śmiercią swoją do tego zwycięstwa się przyczyni; tego ofiara nie tak ciężka, a żal po nim nie taki gorzki. — Łatwiej oddać życie za tak wielką cenę; łatwiej się pocieszyć po najboleśniejszej stracie, jeżeli ta strata niezupełnie była daremną. — Ale poświęcić życie z umysłem zdeterminowanym i trzeźwym, poświęcić je na ofiarę daremną, i niewzdrygnąć się przed taką ofiarą, — iść na nią spokojnie i bez wachania dla tego że obowiązek każe ginąć, choćby marnie — to dopiero zupełne wyrzeczenie się siebie, to poświęcenie największe, bo nieopłacone żadną pociechą, nieosłodzone żadnem nawet złudzeniem! — Żołnierz który pada, wiedząc że po jego ciele inni pójdą zatknąć sztandar zwycięstwa, godzien jest największej chwały, ale rzewniejsze łązy należą się tym, którzy ofiarę tę spełniają w tak ciężkich warunkach.

Któż ośmieli się odgadywać myśli i uczucia co w jednej chwili przemkną przez głowę i serce człowieka idącego na pewną śmierć z całym przeświadczeniem o bezskuteczności swego poświęcenia się? Do jakich reflexyi wystarcza krótka chwila temu co idąc naprzód wie, że jest

..... wyzwany do boju bez chwały

I do męczeństwa bez zmartwychpowstania. —

Bóg jeden, co każdej chwili patrzy w serca nasze, spojrział zapewne na te, co w owym dniu bić przestały—i może je policzył do rzędu ofiar błagalnych.

Lecz wróćmy do opowiedania końca tej expedycyi. — Po doznanej porażce, oddział nie miał co innego robić jak się przerzynać wprost ku lasom czerniejącym na widokregu. — W tym odwrocie udało się Jordanowi raz jeszcze uszykować pozostałe przy nim szczątki, i odeprzeć szarżę atakujących go dragonów.

Oddział był już niedaleko od lasu, gdy znowu nagły, niespodziewany popłoch sprawił zamieszanie w szeregach i ostateczne ich rozbicie. — Mało kto uszedł żywy, nikt prawie bez swanku; rannych po większej części dobijano na poboju.

Z całego oddziału zostało przy Jordanie czterech ludzi. — Jadąc tak w pięciu ku Wisle,

napadnięci zostali przez tych samych dragonów których pierwszej odparli.—Teraz niebyło innego środka jak ratować się ucieczką.

Rozpoczęła się szalona gonitwa, w której tylko bagno trudne do przebycia od śmierci ich ocaliło. — Wśród ciemnej nocy dobili się nareszcie do Wisły; dwóch przebyło ją wplaw, a wyszukawszy z trudnością czółno na drugiej stronie, wróciło po Jordana i pozostałych dwóch towarzyszy.

Taki był koniec tej wyprawy.

Nazajutrz gruchnęła po całej okolicy wieść o klęsce...

Widać było gołem okiem bielejące ciała na przeciwnym brzegu; — na galicyjskim krążyły patrole austrijackie i fury z rannymi i pojmanymi.

Jeden z braci Juliusza dręczony niespokojnością starał się dowiedzieć coś o jego losie; ale nikt nieumiał mu dać dokładnego objaśnienia. — Niepozostawało nic innego aby wyjść z tej zabijającej niepewności, jak dostać się na drugą stronę i tam go szukać.—Przeprawiwszy się tedy, znalazł uczynnego człowieka z którego pomocą rozpoczął smutne poszukiwania.

Pytać o brata miejscowych ludzi; dowiadywać się czy nieuprowadzony jeńcem; czy gdzie

nieprzechowuje się ranny — czy nareszcie nie-widział kto jego konia? wszystkie te pytania zostały bez odpowiedzi...

Odpowiedź dał dopiero cmentarzyk wiejski.

— Tam trzeba go szukać—mówili ludzie, bo tam zwożą ciała poległych dla pogrzebania ich.

I poszedł brat na ten wskazany cmentarz, i ujrzał tam na środku krzyż kamienny, około którego rzędami układano ciała.

Zbliżył się do nich.... spojrział.... i zaraz w pierwszym rzędzie poznał Juliusza!

Całkiem odarty z odzienia leżał trup z dużym czarnym otworem od kuli w miejscu oka, zresztą na całym ciele żadnego znaku pokaleczenia niebyło widać.— Inne ciała nad którymi się śnać pastwiono, wyglądały okropnie.

Kiedy czytamy o świętej Jadwidze jak szukała swego syna między poległymi na Lignickiem pobojuwisku, dziś jeszcze obok czci dla świętej, przejmuję nas jakieś współczucie i przeżenie.

Straszne to musiało być poszukiwanie, kiedy tak żywe po tylu wiekach zostawiło ślady w ludzkiej pamięci. — Wspomina je historia,

czei i opowiada legenda, a wyobraźnia niejednego artysty siliła się by pojąć i oddać tę chwilę.

A jednak fakt to ani jedyny, ani nawet rzadki.—Jeżeli dziś nie jest zapomniany, to dla tego może, że owa nieszczęśliwa matka była świętą i była księżną.

Historya i kościół zapisywały wszystko co się jej tyczyło. — Kto wie czy nie ten jest powód że dziś wiemy o tem co musiało być największą boleścią jej życia, — kiedy o innych nikt niewie i niepomni.

A przecież wiele to, od jej czasów do naszych, podobnych boleści; wiele podobnych poszukiwań, nie daremnych, ale zakończonych strasznym skutkiem — znalezieniem!...— a w tych ostatnich wypadkach ile to było takich, którzy po pobojowisku chodzili od trupa do trupa, patrząc czy nieznajdą męża, brata, syna—a któż ich liczył, kto o nich wiedział, kto będzie pamiętał?

Na sam ten cmentarz komorowski, zjeżdżali się ludzie z różnych stron, przekradali się przez granicę, żeby tam znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie: co się stało z tym który nie wrócił? a wszystkie te boleści, te niepokoje, te straszliwe męki szukania i straszniejsze nad

wszystko — spotkania, niepoliczone, nieopisane, niewiadome — przeszły bez śladu i wieści.

Kiedyż się wreszcie pokaże że Bóg je widział i spamiętał.

Juliusz znaleziony na tym cmentarzu, za cały pogrzeb, za całą cześć zwłokom swoim oddaną, miał tę chwilę, przez którą brat klęczał nad jego ciałem. — Ta chwila trwała krótko; bo zaraz znalazł się ktoś ostrożny, co bojąc się urzędowych świadków i mogących z tąd wynikać prześladowań, niepozwolił przeciągać tego ostatniego pożegnania.

Później nikt już zwłok Juliusza niewidział; nikt z najbliższych nawet nieodprowadził do grobu. — O zabranii ich i przewiezieniu niemożliwo było być mowy; — niepozostało nic innego jak udać się do miejscowego proboszcza i prosić o pochowanie w osobnej trumnie.

Stało się zadość życzeniu.

Towarzysze Juliusza, ci, co razem z nim polegli, spią tam w głuchej mogile, na której nawet krzyża niema,.. lecz że ich pokrywa ziemia polska, potomność będzie wiedziała i bez napisu, że zginęli za wiarę i ojczyznę.

Trzydzieści dwa lat przeminęło między jednym, a drugim zgonem; prawie trzecia część stulecia.

Pierwszemu, gdy padał na polu bitwy pod Kazimierzem, może nie zostało nawet tyle czasu, żeby westchnieniem Bogu ducha polecił, a nie dopieroż, żeby ostatniem słowem przekazywał towarzyszom, lub potomkom swoim, krwawy odwet na wrogu.

Drugi, padając pod Komorowem, podobnie jak tamten, w jednym mgnieniu żyć przestał... i także nieprzekazał ostatniego słowa, któreby powtarzając potomność, czuła się być exekutorką jego testamentu.

Były to śmierci nagłe, żołnierskie, zmiatające człowieka bez śladu, jak listek wichrem z drzewa porwany...

A jednak w tajemniczej loice idących po sobie zdarzeń, druga była dopełnieniem pierwszej...

W średnich wiekach, szczególnie w ich epopejach, widzimy konającego rycerza, który oddającemu ostatnią posługę przyjacielowi, powierza zemstę na swoich mordercach, lub rzuca słowo, zamieniające się w hasło odwetu dla kilku generacji. Śmierć Żółkiewskiego na polach Cecory, wydaje mściciela w Sobieskim.

W naszych czasach padają tysiące— a sam fakt śmierci, poniesionej w ofiarze za ojczyznę, wystarcza już następnym pokoleniom, że się sposobią do takiej samej ofiary...

Trzydzieści dwa lat minęło od śmierci pierwszego Juliusza, długich jak męczarnia, a prędko przemijających jak wiecznie oczekująca nadzieja..... Powstanie listopadowe było ciąglem: *wczoraj*, którego *jutro* miało codzień nastąpić... W gorączkowem tem życiu lata mijały jak sen; bo wszystko wydawało się snem w obec tej upragnionej rzeczywistości...

Nowe pokolenie sprzysiężone z tą myślą, o niczem innem niemarzyło, jak o wznowieniu zapasów z przemocą. Wszystkie inne cele życia, grały w obec tego celu, rolę podrzędną.

Praktycznie rzecz biorąc, niebyła to droga wiodąca do natychmiastowego zbawienia, jak

raczej droga na Golgotę, wybrukowana czaszkami ofiar. ...

Uczuciowa polityka, rycerskość poświęcenia się, pchnięte ku sferom ideału, składały cały sprzęt tego gospodarstwa duchowego, zostającego w rażącej sprzeczności z materyalnym organizmem, wyrafinowaną zręcznością i niezliczonymi środkami, jakimi okolające nas potęgi rozporządzały.

Raz poślubiwszy ofiarę z życia, zamknęliśmy przed sobą inne drogi, inne sposoby powolnego a wytrwałego zapracowania na przyszłość. Rys ten narodowego charakteru, przypominający pierwsze wieki chrześcijaństwa, wojny krzyżowe, i nasze wyprawy na wschód, pozostał wybitną cechą odróżniającą nas od innych państw i narodów w wieku dziewiętnastym.

Rycerski, starowierczy żywot, prawdziwa anomalia w czasach przemysłu, mechanicznych i chemicznych odkryć, i bankowych spekulacji — przeciągnął się tym sposobem poza granicę przyczyn i warunków swego istnienia.

Świat nazwał to szaleństwem, obwinił o samobójstwo — i sąd jego był słuszny z punktu, na którym stał i z którego patrzył na tę peryodycznie wznawianą, nierówną, rozpaczliwą walkę... Świat polityczny niemógł więc być trybu-

nałem, mającym rozsądzić tę sprawę — co taki przybrała charakter, że między nią a Bogiem niema pośrednika; ilekroć też w kombinacjach naszych uciekaliśmy się do potęg ziemskich i ich sympatyj — zawsze spotykał nas zawód i rozczarowanie.

Tymczasem każde nowe pokolenie, które wyszło z bólów, krwi i łez poprzedzającego pokolenia, gotowe było, skutkiem fatalnej konieczności, przechodzić przez te same próby w rezultatach bezowocne, wytępiające; lecz wznowiane z tą wiarą, że próba może będzie ostatnią, i odwrócone oblicze Boskie da się nią nareszcie przebłagać.

Wiara w przebłaganie wyroków przez męczeństwo i ofiarę, została jedynym usprawiedliwieniem tego, co ze zwykłą praktyką interesów ludzkich nie dałoby się pogodzić. Ta wiara pchnęła w szeregi powstańcze niejedną z tych czystych dusz młodzieńczych, co nieznanym rozumnej pobudki do czynu, brała przeciw w nim udział, powiadając sobie: jeśli ofiar potrzeba, więc jestem!

Juliusz z r. 1831, choć wtedy siły nasze ważyły coś na szali losów, już był owładnięty przeczuciem tej przyszłości, która kraj cały miała zamienić w stos ofiarny, i w duchu wieszczym

powtarza: „Walczymy w tem przekonaniu, że massa tylu ofiar musi przed Bogiem litość wzbudzić, i dać nakoniec ojczyźnie naszej to, czego ginąc, żądamy.“

Juliusz z r. 1863, znalazł się w warunkach, w których nie już niebyło do usprawiedliwienia, krom jednej konieczności ofiary—i trzeźwo zapatrując się na wybuch, niewahał się krwi i życia poświęcić.

W tym rysie, między jednym a drugim zachodzi głębokie duchowe podobieństwo.

Tam—przeczcucie ofiary, tu—już jej spełnienie, tak czyste, tak bezinteresowne, że nawet niemogło marzyć o promyku sławy, pięknie ubierającym mogiłę poległego za ojczyznę.

Innych podobieństw też niebrak między temi dwoma młodzieńczemi postaciami.

Trafia się nieraz, że ludzie, nawet obcy dla siebie, i nie w jednym czasie żyjący, mają ze sobą dziwne podobieństwo natury i losów; jakiś niewidzialny, tajemniczy związek zachodzi między nimi i tak łączy, że się rozdzielić niedadzą w naszym pojęciu, i kiedy się myśli o jednym, mimowolnie i drugi staje przed oczyma.

W historyi nieraz napotkamy taką nierozdzielną parę, związaną bądź to przyjaźnią, bądź wspólną pracą około jednego dzieła, bądź wreszcie

spuścizną myśli i dążenia, które jeden człowiek po drugim dziedziczy i wykonywa. — Ludzie tacy są dla siebie nawzajem dopełnieniem, postacie ich razem zostawać zwykły w pamięci, potomność lubi ich łączyć nawet na grobowcach i pomnikach. — Bolesław Chrobry stoi obok Mieczysława w Poznańskiej katedrze, — a na cmentarzu wygnańców w Montmorency, pod tym samym kamieniem śpi Ursyn i Kniaziewicz. — Par takich możnaby naliczyć wiele w naszych dziejach, i nierazilby może pomnik, któryby połączył Batorego z Zamojskim, Żółkiewskiego z Sobieskim, Kołłątaja z Ignacym Potockim, lub zmarłego świeżo Jenerała Zamojskiego z Adamem Czartoryskim.

Nie tak wielkimi literami zapisanych w dziejach narodu, nie tak pamiętnych, owszem nieznanym i skromnym młodzieńców, chcieliśmy w jednym wspomnieniu połączyć tych dwóch Juliuszów. — Jest bowiem dziwne między nimi zbliżenie; nieć jakaś tajemnicza ciągnie się od żywota i zgonu jednego, do urodzenia i do śmierci drugiego, tak, że zdaje się prawie, jak żeby to był ten sam człowiek, to samo życie, i ten sam koniec; jak żeby drugi Juliusz był odbiciem i powtórzeniem się pierwszego. — Wszystko u nich podobne; — w nazwisku tylko różnica, ale krew

jedną i jedno mają chrzestne imię. — Obadwa przynieśli sobie na świat to samo położenie społeczne; — te same warunki rodziny, wychowania; — te same kształcą ich wpływy; nawet obudwóch ci sami jeszcze otaczają ludzie. — Analogia idzie dalej: jak jeden tak drugi rośnie i dojrzewa pod przeważnym, jeżeli nie wyłącznym wpływem matki, a każdy miał za matkę kobietę wielkiego serca i wyższego rozumu. — I nie na tych zewnętrznych warunkach koniec tego podobieństwa, — sięgało ono głębiej aż do dna serca, aż do samych podstaw charakteru.

Żyje jeszcze wiele osób, które ich znały obudwóch; Otóż wszystkie zgadzają się na to, co nieraz powtarzała niewiasta, która ich z sobą łączyła — siostra jednego a matka drugiego: że Juliusz Tarnowski był żywym wizerunkiem swego wuja. — Ta sama w sercu prostota i szczerłość, ta sama w umyśle bystrość, taż sama w postępowaniu zacność i szlachetność.

Nawet te drobne, te podrzędne a bardzo charakterystyczne rysy natury były u nich wspólne. — Obydwóm właściwy był dar rozpogodzenia i rozweselenia drugich, nawet ten sam rodzaj wesołości i dowcipu mieli obydwa, tak dalece, że śmieszne pomysły siostrzeńca, robiły wrażenie tym, którzy pamiętali wuja, jak żeby

jakieś echo pogrobowe było im odniosło słowa, z których się śmiali kiedyś przed laty trzydziestu.

Ten sam był temperament, te same upodobania, ten sam gust do konia, ten sam pociąg do kniei i strzelby. — Słowem, natura i wychowanie, życie moralne wewnętrzne i życie towarzyskie, wszystko czyniło ich podobnymi do siebie; a na zbliżeniu tem przypadkowym przyłożyła jeszcze pieczęć dziwna jakaś sympatya, jaką miał zawsze młodszy Juliusz do Wuja, którego znał tylko z tradycyi.

Przez całe życie często go wspominał i lubił o nim mówić, a w ostatnich czasach wspomnienie to zjawiało się coraz częściej. — Jużto porównywał swoje położenie z położeniem tamtego, i zazdrościł mu, że więcej mógł zrobić dla sprawy której służył, już zapytywał, czy zdarzy mu się jak tamtemu jaka szczęśliwa potyczka...

..... Kto wie nareszcie, ażali nieprzeszło mu przez głowę pytanie, czy nieskończy jak tamten? Myśl ta była tak bliską tych wszystkich porównań i pytań, że niewątpliwie nasuwać mu się musiała.

I w istocie, śmierć doprowadziła porównanie do ostatka, a podobieństwo uczyniła zupełnem.— Nietylko, że oba na polu bitwy, ale oba

polegli w attaku.— Różnica cała, że jeden szedł z kosą, a drugi z bagnetem.

A jednak, nie! — są większe i głębsze różnice. — Kiedy Juliusz Małachowski żegnał się z matką i wychodził ze swymi strzelcami, było się kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, była wojna; a kto patrzył na Grochów, ten zaiste mógł się spodziewać czego innego, jak wzięcia Warszawy: — on padając, mógł w ostatniej chwili pomyśleć, że inni staną u celu.

Juliusz Tarnowski nie miał tej pociechy, która musi być i nagrodą żołnierza; — szedł się bić w ruchu słabym, któremu zwycięstwa nie wróżył, a padać musiał z tem gorzkim uczuciem, że ginie daremnie.

Ci dwaj ludzie i te dwa zgony tak podobne, a przecież tak różne samą skalą swej traiczności, są jakby małym obrazem tych dwóch epok i tych dwóch powstań i prowadzą mimowolnie do smutnych myśli i smutnych między niemi porównań.

Ale porównania tego pisać niebędziemy.— Cokolwiek było i cokolwiek się stało, zostaje nam na pociechę słowo, jedno z rzadkich słów prawdziwych, jakie nam rzuciło zagraniczne współczucie: „Polska nieginęła, kiedy za nią giną“ a ginęli teraz, jak wtedy.

Zaczynając to wspomnienie, mówiliśmy o dawnych kronikach domowych, o rodzinnej tradycji poświęcenia się i miłości ojczyzny; i w istocie przykłady takie, jak tych dwóch Juliuszów, obowiązują następne pokolenia,— są dla nich i wzorem i zawsze przytomnem upomnieniem. — Ale ta strona domowa i rodzinna, nie obejmuje i niewyczerpuje całego znaczenia, tych poświęceń i tych zgonów.— Ci dwaj ludzie, o których mówiliśmy, niebyli ludźmi wyjątkowymi ani nadzwyczajnymi; położeniem, stosunkami, sposobem życia, podobni byli do wielu; stopniem wykształcenia i zdolności wielu dorównać im może; rycerskim duchem i męskim sercem wielubym dorównać powinno.

Nie są to więc głowy wybrane z pomiędzy tysięcy, są oni raczej wzorem tego, czem ludzie zwyczajnej miary być mogą i powinni. — Żaden z nich niezbawił ojczyzny, żaden się nawet niewsławił;— a jednak, gdyby takich było wielu, gdyby zamiast żądać od siebie zarozumiałe rzeczy wielkich, dorastający młodzieniec stawiał sobie przed oczy ten ideał do osiągnięcia łatwiejszy, gdyby chciał szczerze zostać takim człowiekiem w zwyczajnych warunkach, zdolnym do życia jakie mu przypadnie a gotowym na

śmierć i ofiarę, — może wtedy i ofiary byłyby mniej daremne. — W tej średniej mierze w tej że tak powiem, zwyczajności naszych dwóch bohaterów, leży zdaniem mojem ich właściwy charakter i wielka nauka ich śmierci.

Ludzie żyjący tym trybem jakim żyje u nas większa część młodzieży; — niensposobieni do świetnych zawodów, wychowani tylko na ludzi znających dobrze obowiązki jakie im nakłada Bóg, ojczyzna i szacunek siebie samych; — przychodzi potrzeba: — każdy z nich idzie i ginie tak, że godzien byłby paść w Termopilach. — Odlóżmy na bok wszystkie własności czysto osobiste; wszystkie drobne korzyści wdzięku, dowcipu, bystrzejszego umysłu; czyż miałoby być tak trudno usposobić się do tej samej wartości, czy tak trudno znać i pojmować owe obowiązki jak oni je pojmowali? Postacie takie powinnyby być nie wyjątkami w naszym społeczeństwie, ale jego typami.

A jakkolwiek typ ten niedość rozpowszechniony, jednak za taki poniekąd uważaliśmy dwóch Juliuszów. — Znane imiona, rozleglejsze stosunki, wielki wreszcie osobisty urok i wielki żal po ich zgonie, uratowały ich od zapomnienia — i wątpić nie trzeba że pamięć ich długo się w Polsce przechowa.

Tymczasem wielu to obok nich, wielu w roku 31, wielu 63 poległo jak oni, a za ofiarę swoją niemają nawet tej marnej nagrody żeby ktoś o nich wiedział i pamiętał. — A jednak ofiara była ta sama; każdy dał co miał najdroższego, życie! — Nie wyjątki to więc, ale jak żeby dwaj szlachetni przedstawiciele dwóch po sobie idących epok; — do ich pamięci niech się wiąże pamięć tylu zapomnianych; — cześć im wyrządzona, niechaj uczei także i tamtych, a krótka powieść o ich życiu i zgonie, niech stanie jak by za mały zbiorowy obrazek życia i poświęceń się dwóch pokoleń, a jako taki niech się przyczyni do utrzymania nie domowej, już ale narodowej tradycji.

Smutna tradycja! — Wieleż to razy powtórzyły się po wszystkich ziemiach polskich dzieje tych synów i tych matek, z wielu tysięcy mogił woła do nieba ten napis który wdowa i matka położyły niegdyś na grobie Żółkiewskich? Kości coraz więcej — ale mściciela nie widać! — A kto na wołanie o mściciela czeka odpowiedzi, kto w naszych smutnych czasach chce znaleźć trochę pokrzepienia i nadziei, ten ich chyba szukać musi w tych słowach mistycznego widzenia: „widziałem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świa-

„dectwa i wołały głosem wielkim: dokądże Panie
„niesądzisz i niemścisz się krwi naszej? I dano im
„po szacie białej i powiedziano aby jeszcze od-
„poczęły mały czas.“







120-

50727/457

PEDAGOGICZNA ... LCAC
BIBLIOTEKA

102523

Biblioteka WSP Kielce



0159061